HELISTAN-MARJUSZ

ICEK i JACEK
I INNE NOWELE

WARSZAWA 1913

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

NOWELE

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

Egz. archiwalny IBL

HELISTAN-MARJUSZ

ICEK i JACEK
I INNE NOWELE

INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72
Tel. 26-68-63

WARSZAWA-SKŁAD GŁÓWNY: W KSIĘGARNI
E. WENDE I SKA (T. HIŻ I A. TURKUŁ).
ŁÓDŹ - KSIĘGARNIA LUDWIKA FISZERA

http://rcin.org.pl

Fundacji im. I. J. Michalskiego ze zbiorów

22.014

ODBITO W DRUKARNI NARODOWEJ W KRAKOWIE.

http://rcin.org.pl

ICEK I JACEK.

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

I.

Icek i Jacek mieszkali w jednej wiosce.

Icek lubił handel i przeróżne geszefty, w których gorliwie dopomagał matce, utrzymującej sklepik z wiktuałami. Jacek — kochał jasne słonko, wodę w strumykach i swoją fujarkę, na której wygrywał cudności, pasąc bydło w polu.

O Icku mówili współwyznawcy, że ma spryt i że mu bankier z oczu patrzy.

O Jacku gadali chłopi, że jest próżniak i że nic dobrego z niego nie wyrośnie.

Icka, w przystępie czułości, głaskała matka po głowie, powtarzając z zachwytem:

— Słodkie dziecko!

Jackowa rodzicielka wymyślała często synowi od zatraconych obwiesiów i prała go przy lada sposobności, dowodząc: że na to jest kij, aby nim psów i chłopów okładać!

Odmiennemi zatem drogami stąpali obaj rówieśnicy po ścieżce doczesnego żywota.

Nie przeszkadzało im to jednak spotykać się ze sobą. Pierwszą znajomość, na łączce za wioską, zawarli w warunkach dla Icka nieprzyjemnych, Jacek bowiem, spostrzegłszy żydziaka, powodowany wrodzonym wstrętem do synów Izraela, pogroził mu batem i rzucił pytanie:

http://rcin.org.pl

— Kces?

Icek pobladł, lecz nie stracił przytomności; znajomość z Jackiem leżała w jego interesie, cofnął się więc przezornie, i dobywając z kieszeni papierosa, również zapytał:

— Chcesz?

Jackowi zaśmiały się oczy. Chociaż odbierał szturchańce za niedopałki, które zbierał skrzętnie i ćmił w sekrecie przed matką — na widok całego papierosa zapomniał o wszystkiem, rzucił bat i wyciągając rękę, zawołał:

— Dawaj!

Icek uprzejmie poczęstował go jeszcze zapałką i już w dobrej komitywie zasiedli na trawie.

— Kaj ty idziesz? — spytał Jacek krztusząc się dymem papierosa.

— Po jajki!

— Po jojka? A na co ci?

— Bardzo dużo potrzebuję...

— Dużo — zamyślił się Jacek.

— Może ty masz na psiedanie?

— Skądby? — szepnął — Matula to mają w kumorze!

— Ny... to jak matula ma, to i ty masz tyż!... Psiecie co matki, to i dziecka jest!

— To se idź i weź! Wszyćkie ci podaruję! — roześmiał się chłopak na myśl o cięgach, jakieby na Icka spadły, gdyby go tak matula zeszła w komorze.

— Jakbym sobie sam wziął, tobym ci nie

http://rcin.org.pl

potrzebował papierosów dawać! — odparł Icek z dobroduszną miną.

— To ty mi kces papierosów dać?...

— Za jajki, jakbyś mi chciał kilka psinieść na pole — kusił Icek.

Jacek westchnął głęboko.

— A jak matula mnie chycą? — szepnął po chwili.

— Co ty masz taki głupi być? Ja ci dam dużo papierosów...

Chłopak spojrzał żałośnie na gasnący opałek, rzucił go na ziemię i mruknął:

— A niechta! Przyniosę, ale papirosów musi być siła!

— Dużo jajki — dużo papierosy, mało jajki — mało papierosy bedże — wygłosił poważnie Icek.

Jacek w milczeniu trzasnął parę razy z bata i spędził krowy z pastwiska.

. . . . . .

Stosownie do umowy, Icek z Jackiem spotkali się znów na łączce.

Jacek lękliwie rozglądał się dokoła.

Icek cierpliwie oczekiwał rozpoczęcia tranzakcji, po której obiecywał sobie zapewnie wiele korzyści.

— Biezes? — rzucił Jacek prędko.

— Co ja mam brać? — spytał Icek, udając głupiego.

— Cóżby, jak nie jojka?

http://rcin.org.pl

— Na co mi jajki? ja już kupiałem, co mi potrzebne było!

— Nie kces?

— Mogę wżąszcz po dobre znajomość...

— No to bierz... mam trzy piątki!...

— Daj porachuję!

— A masz papierusy?

— Ja wsistko mam!

— No to dawaj i kuniec!

— Zaraz! zaraz! co ty taki nagły jesteś!

— Muszę gnać bydło do lasa...

— Co ty chcesz za te jajki?

Jacek medytował długo nad postawieniem ceny, lecz nie umiał jej oznaczyć.

Icek bąknął od niechcenia:

— Mógłbym dać po papierosie na jedno!

Jackowi się przypomniało, że matula często mawia, jako żydzi zawsze oszukują i dają jedno za to, co jest dwa warte, więc odrzekł:

— Nie dom ci!

— Nie bądź ty Jacek głupi! Tyś porwał z chałupy jajki... jak sze twoje mame o tem dowie, to z tobą będzie bardzo źle!

Jacka „frybra“ przeszła na wspomnienie matki, lecz nadrobił miną i stanowczym głosem odrzekł:

— Dosz dwa papirusy za jedno jojko, to weźmiesz!

— Mnieby moje mame wybiło za taki handel! — odrzekł Icek, udając wielki żal. — Ale

http://rcin.org.pl

ja ci powiem: ja nie chcę, cobyś ty stratny buł! Ja ci dam trzy papierosy za dwa jajki!

— Kończma — zdecydował się Jacek i rozłożył przed Ickiem swój towar.

— Takie małe? — zdziwił się Icek. — Czy to aby nie fałszowane?

Jacek gwizdnął na psa i podniósł bat w górę.

Icek udał, że giestu Jacka nie wziął do siebie, lecz dla pewności odsunął się od chłopaka i śpiesznie zaczął jajka rozdzielać, rachując głośno:

— Trzy i dwa to pięcz!

Za każdym takiem obliczeniem chował za pazuchę trzy jajka, kładąc do czapki Jacka dwa papierosy.

— Mnie się widzi, że ty coś cyganis! — bąknął Jacek.

— Kto cygani? Za co cygani? Co ty takie głupstwo mówisz? Ja ci jeszcze daję pudełko na przykładkę!

W tej chwili ode wsi doleciało ich wołanie:

— Jaaacek! A pudzi no, pudź!

— Chłopak drgnął i spojrzał na Icka z rozpaczonym wzrokiem.

Żydziak uśmiechnął się złośliwie i pomknął z jajkami przez pole do sklepiku.

— Nie przyńdziesz zatracony obwiesiu, kiej cię matka wołają? — usłyszał Jacek znowu.

Z ciężkiem westchnieniem powlókł się chłopak do chałupy.

. . . . . .

http://rcin.org.pl

Icek wrócił spiesznie do domu, wpadł do sklepiku i zawołał:

— Mame, przeniosłem jajki?

— Po ile?

— Bardzo droge są: trzy grosze sztuka!

— To je odnieś z powrotem. Para pięć to dosyć jest!

Icek roześmiał się filuternie:

— Jaka ty mama mądra jesteś! ny! ny! Ty już naprzód wiesz, co ja za nie dałem!

— Widzisz ty mały złodzieju, ty! — odrzekła matka, szczypiąc delikatnie w policzek jedynaka.

— Dużo przyniosłeś?

— Niech mama rachuje, co tu dużo gadać?

Żydówka skwapliwie obejrzała przyniesiony towar, cmoknęła z zadowolenia i rozpoczęła obrachunek:

— Za czternaście jajek, para trzy...

— Jakie trzy? pięć się mama zgodziła, nie trzy!

— Sztyl, niech będzie pięć... czego robisz krzyk? Ja się pomyliłam...

— To niech się mama nie myli.

— To mamy trzydzieści pięć groszy — obliczała dalej żydówka. — Jedno jajko dwa grosze, to będzie...

— Nic nie będzie. Ja nie oddam za dwa grosze! Trzy grosze, inaczej nie mogę!

— Ja też nie mogę stratną być.

I zaczęli się kłócić aż stanęło na tem, że owo jajko niezgody zostało ugotowane przez matkę

http://rcin.org.pl

i zjedzone przez Icka. Właśnie delektował się ostatnim kawałkiem, gdy drzwi do sklepiku otworzyły się z trzaskiem i wpadła Grzędzina, matka Jacka.

— Gdzie jest ten złodziejski syn, Icek?

— Co wy Grzędzina tak pisk otwieracie? Tu żadne złodzieje nima!

— Wszyścyśta złodzieje, sielmy!

— Co wam kto potrzebował ukraść?

— Dyć ten gałgan ukradł mi mendel jajek.

— Jaki gałgan?

— Jacek!

— Ny, to psiecie nie Icek! Co wy się potrzebujecie ciepiać? Ja was do sądu oddam za gwałt i obrażenie! — zaczęła hałasować żydówka.

— Bez cóż robicie zaraz taki harmider — spokojniej przemówiła Grzędzina, przerażona wzmianką o sądzie. — Przyszłam się do was jeno użalić, moja pani kupcowa, bo ten wasz Icek straśne złodziejstwa wyrabia we wsi!...

— Ja się wam bardzo dżywuję, co wy możecie takie rzecz o moje dziecko gadać...

— Jakże nimom gadać, kiej mi Jacek wyniósł jajka z komory, a Icek je za papirusy wycyganił od niego.

Icek cały trud walki z Grzędziną pozostawił matce, sam ukryty za szafą debatował nad tem, jak się wykręcić z delikatnego geszeftu, który przed chwilą przeprowadził. Obawiał się, że

http://rcin.org.pl

matka, zbadawszy prawdę, wycofa kapitał w sumie jednego rubla, który mu powierzyła na prowadzenie interesu, lecz równocześnie pocieszał się myślą, że procent, jaki ten kapitał już przyniósł przez ciąg jego działalności handlowej, wystarczy mu na pierwsze potrzeby w razie bankructwa. Tymczasem żydówka lamentowała coraz głośniej.

— Ja wdowa i wy wdowa — i co my dwie bidne wdowy mamy się ze sobą kłócić!... Ja o te jajki nic nie wim i wy tyż napewno nie wicie, jak buło!...

— Jużci dokumentnie nie wim, że tam tak, abo tak było, ale jakem prała mojego chłopaka, to mu papirusy z za pazuchy wyleciały!...

— Może gdzie znalazł?

— Kiej gada, ze od Icka dostał!...

— Ach ten Icyk! ten Icyk! — biadała żydówka. — Co ja mam za nieszczęście z tym gałganem... On mi wsistko ze sklepu winoszy dla te paskudne wiejskie chłopaki! On żić bez nich nie może! Ja sze temu nie dżywuje po prawdzie... chowa się razem z nimi, to ma tyż dla nich takie rodżynne miłoszcz — dokończyła z rozrzewnieniem.

— No, ale kajże się jojka podziały?

— Co ja mogę wiedżecz, moja pani Grzędzina? Ja sama bardzo ciekawa jestem, co sze z te jajki zrobiało!

Grzędzina nie była zupełnie przekonaną o pra-

http://rcin.org.pl

wdzie słów usłyszanych, rozchmurzyła się jednak na widok miętówki, którą uprzejma żydówka zaczęła ją częstować. Rozstała się też z kupcową w znacznie lepszej komitywie.

. . . . . .

Icek, stosownie do ułożonego naprędce planu, chrapał za szafą. Żydówka, pod wpływem rozmowy z Grzędziną, poczęła go budzić energicznie:

— Wstawaj! ty złodziejskie dziecko!

— Wus wilste? Co mama chce odemnie?— mamrotał, udając zaspanego.

— Oddaj mi moje trzydzieści pięć groszy, ty złodzieju, ty!

— To ja mamie co ukradłem kiedy? — postawił się ostro.

— A papierosy?

— Przecie zapłaciłem za nie sześć groszy!

— To ciebie te jajki kosztują sześć groszy, a ty od rodzonej matki potrzebowałeś wziąść trzydzieści pięć i strachu jeszcze narobić? To za gruby procent jest!

— Mama myśli, że ja darmo będę pracował! Ja i tak dla mamy grzeczność zrobiłem i taniej odstąpiłem, bo wszędzie jajka płacą po trzy grosze sztuka...

— A moje wódka, ty złodzieju!

— A moje jajko, co mi matka nie chciała za nie zapłacić?

— Przecie je zjadłeś?

— To ja jeszcze na swój koszt mam się

http://rcin.org.pl

żywić? Ja takiej spółki nie chcę! niech sobie mama sama handluje, ja sobie w świat pójdę! — rozpłakał się.

— Icele, mein kind! — wykrzyknęła rozczulona matka. — Ty nie płacz, bo mi się serce rozdziera! Przecie ja i tak dla ciebie tylko pracuję!

Icek widząc, że serce matki górę wzięło nad interesem, uspokoił się, siadł napuszony w kącie i wkrótce zasnął naprawdę. Żydówka kręciła się po sklepiku, ustawiając i rachując towary. Od czasu do czasu obejmowała miłosnym wzrokiem śpiącego gagatka, powtarzając szeptem.

— To moje kochane dziecko jest... Er hat a gite kepełe...

II.

W kilka tygodni po awanturze z jajkami, Icek spotkał się znowu z Jackiem na polu.

Chłopak obces skoczył do żydziaka i wywijając batem krzyknął:

— Mom cię złodzieju! Kryłeś się przedemną, alem cię przyłapoł!

Icek nie stracił rezonu i powsiadł z góry na Jacka:

— Co ty się rzucisz? Kogo ty robisz złodziejem?

— Ciebie!

http://rcin.org.pl

— Za co?

— Za to, że mnie matula sprali...

— To ja temu wynien?

— A kto mnie namówił do kradzenia jojków?

— Ja czebie namówiłem do kradzenia? Ty możesz na to przyszęgacz?

— Przysięgać nimogę, ale dowód mom...

— Jaki? — spytał chytrze Icek.

— Patrz...

— I odchylił chłopak koszuli, ukazując żydziakowi posiniaczone plecy.

— Oj waj! — westchnął Icek z dobrze udanym żalem. — Jakiś ty Jacek bidny... Mnie samego od tego widoku już wsistko zabolało... może mi nawet serce pęknie!

— Widzis... to wszystko przez te jojka i twoje papierosy... Matula sprali mnie rzetelnie.

— Ja wim — bąknął Icek politycznie. — Ja wim, że ty masz rzetelną matkę.

Jakiś czas milczeli obaj.

Icek pierwszy przemówił, wyjmując z kieszeni papierosy.

— Masz, zapal sobie.

— Bóg zapłać — odsunął się Jacek — nie polę.

— Darmo ci daję — zdziwił się Icek.

Jacek machnął ręką.

— Dlaczego nie chcesz? Ja cię z dobrego sercu częstuję.

http://rcin.org.pl

— Przysiongem matuli, że polił nie bede.

Icek schował papierosy i z drugiej kieszeni wyciągnął jabłko.

— A to zjesz? — spytał.

— Na jabka nie przysiengołem, to zjem. Zkąd ty masz takie jabka dobre?

— Kupiałem — odparł krótko Icek. — Teraz już z jajkiem nie handluję. Chcesz jeszcze?

— Co sie tam bedziesz szkodował.

— Weź, porachujemy się kiedy za nie...

— Jak bedziema się rachować, kiedy jo grosika nimom przy dusy?

— Nie masz dziś, ale możesz mieć jutro — upewnił go Icek.

— Mogę mieć jutro? — pokręcił głową Jacek, chrupiąc drugie jabłko. — Jak mogę? — spytał.

— Żebyś tylko chciał...

— Kcę.

Icek pomyślał chwilę, poczem, unikając wzroku Jacka, rzekł od niechcenia:

— Znasz ty Wojtka Podwałę?

— Nie znoł bym? Całka wieś zno tego złodzieja...

— Złodzieja? — zdziwił się Icek. — Wojtek złodziej? Ja nic o tem nie wiedziałem. Co on tobie ukradł?

— Mnie? Nic.

— Może matce twojej?

— Też nic, ino tak o nim godają...

http://rcin.org.pl

— Gadają! gadają! Czy to można tak gadać? Trzeba złapić i przekonać, że on złodziej jest... Ja ci mówię Jacek, że Wojtek jest porządny chłopak. On pracuje, ciężko pracuje i z tego ma zarobek. Akuratnie teraz załatwia mi jeden sprawunek. Kupiełem worek jabki... Niósł je do naszego sklepiku, ale sie zdźwigał i przewrócił z workiem kiele starego cmentarza... Pomóż mu te jabki do mnie przynieść...

— Locego ty mu sam nie pomożesz? — zdziwił się Jacek.

— Jabym mu pomógł, ale mama moja zaraz jedzie do miasta i kazała mi przez ten czas pilnować sklepiku. Właśnie zamówiłem dla niej furmankę i wracałem do domu, kiedyśmy się tu spotkali. Jacuś — dodał Icek z przymileniem — pomóż Wojtkowi przynieść dziś wieczorem te jabki do naszego sklepiku, dam ci — całą dżeszątkę.

— Locego wiecorem? Przecie tero zaroz mogę, ino bydło z pola spędzę.

— Teraz nie dobrze będzie, bo przez drogę napaść mogą na was inne chłopaki i rozdrapią mi cały towar.

— Ano — medytował Jacek, spoglądając z pod oka na Icka.

— Pójdziesz? — ponowił Icek.

— Puńdę — zdecydował się nagle chłopak.

— Dostaniesz całą dżeszątkę i jabko na psikładkę — zapewnił Jacka Icek i ruszył ucieszony do domu.

http://rcin.org.pl

Chłopak przeczekał, aż mu Icek zginie z oczu i pędem pobiegł do matki.

— Bój się Boga, coś ty taki zziajany? — przywitała go Grzędzina.

Chłopak powtórzył matce rozmowę z Ickiem.

— Ho! ho! — pokiwała Grzędzina głową. — W tem się kryje jakieś złodziejstwo. Chodźma do księdza na plebanijom.

Proboszcz dojrzał ich zdaleka i przywitał:

— A co powiecie Grzędzino? Czy znów z chłopakiem do przysięgi?

— Nie, proszę dobrodzieja — odpowiedziała Grzędzina, całując księdza w rękę, co też i Jacek uczynił. — Przyśliśma jeno oboje, bo ten zapowietrzony żydziak, znów coś nowego szykuje. Mów Jacek wszystko jak było, nie bój się.

— Mów chłopcze śmiało — dodał proboszcz, głaszcząc wyrostka po głowie.

Jacek powtórzył dokładnie całą rozmowę, jaką Icek z nim przeprowadził.

Proboszczowi rozjaśniło się oblicze. Uchylił drzwi do kuchni i zawołał:

— Siostro, niechno siostra tu idzie.

Do pokoju wpadła siwa staruszka i wznosząc do góry ręce ciastem oblepione, spytała wystraszona:

— Co się tam znowu stało?

— Wie siostra, kto nam jabłka z ogrodu wykrada?

— On! — wskazała palcem, na zaczerwienionego jak wiśnia Jacka.

http://rcin.org.pl

— Uchowaj Boże! — zaprzeczył ksiądz. — Dzięki właśnie Jacusiowi, przyłapiemy dziś złodzieja, który tyle szkód porobił nam w ogrodzie.

— I któż to taki? Niech mi brat powie, bo uschnę z ciekawości.

— Icek.

— A to skaranie Boże z tym żydziakiem — westchnęła staruszka załamując ręce.

— Teraz nam się już nie wymknie — upewniał proboszcz chodząc po pokoju. — Ty Jacuś — rzekł przystając nagle — idź, jakby nigdy nic i pomóż Wojtkowi wieczorem przy tych jabłkach... Resztę biorę na siebie. Niech Grzędzina wracając do domu, poprosi do mnie Szymona Skibę. Sami nic mu nie mówcie i milczcie oboje z Jackiem o całej sprawie. Trzeba raz temu koniec położyć.

. . . . . .

Na nieoczekiwaną scenę w sklepiku trafiła matka Icka, po powrocie z miasteczka: żydziak trzymany przez dwóch gospodarzy za głowę i nogi, otrzymywał od trzeciego chłostę na worku jabłek skradzionych z ogrodu proboszcza przez Wojtka, a kupionych przez Icka. Druga trójka włościan obrabiała Wojtka Podwałę.

Żydówka jak pantera skoczyła na ratunek Icka i, zasłoniwszy go własnem ciałem, jęła wrzeszczeć:

— Co to za napad? Za co wy go bijecie?

— Za kradzież!

http://rcin.org.pl

— Icka za kradzież? To nie może być! On nikomu nic jeszcze nie ukradł!

— Ale skupuje rzeczy kradzione...

— To nie prawda jest! Ja swoje dziecko znam! Ja was podam do sądu!

— Stul pysk, pókim dobry! — przerwał jej Szymon Skiba. — Złapaliśmy ich na gorącym uczynku i po ojcowsku sprawę załatwili, ale jak się to jeszcze raz powtórzy — ze wsi was oboje wygonimy... Weźta to sobie żydowiny na rozum i uwagę!

Po wyjściu chłopów ze sklepiku, żydówka zamknęła drzwi, zasłoniła okna i z wielką czułością przygarnęła do siebie spłakanego żydziaka.

— Icie, wa mir! — załkała.

— Nyy?

— Jak ty mogłeś taki głupi interes robić?

— To oni jabłka zabrali?

— Ty się o jabłka pytasz? To ciebie nic nie boli? Dla czego ty zaraz nie uciekłeś? Trzeba było się schować i czekać mego powrotu.

— Miałem zostawić sklepik otwarty?

— Wielka rzecz, przecież tu nie było wiele towaru... Niechby go sobie zabrali... Mogłam za to wystąpić ze skargą do sądu o gwałt i rozgrabienie... Cała wieś musiałaby nam szkody płacić!

— Oj waj mir! — jęknął Icek.

— Boli cię? — Gdzie?

http://rcin.org.pl

— W sercu — jęknął ponownie. — Bardzo mnie serce boli, że mama taka głupia!

— Icyk! — wystraszyła się żydówka! — Ty chyba masz gorączkę? Dla czego ja mam głupia być?

— To mama mnie dopiero teraz uczy co ja miałem ze sklepikiem zrobić? Dla czego mi mama dawniej tego nie powiedziała? Oj waj! — zaszlochał — straciliśmy ładne pieniądze!

III.

Jacek przestał pasać krowy.

Grzędzina za namową księdza proboszcza, umieściła chłopaka w wiejskiej szkole rolniczej.

— Jedynaka masz kobieto, — nie żałuj na jego wychowanie. Zobaczysz, że z niego porządny człowiek wyrośnie. Jest w nim dobry materjał... Jest! — mówił proboszcz, głaszcząc chłopaka po kopiastej czuprynie.

— Czy aby Jacuś podoła?

— Nie frasuj się dobra kobieto, są tam tacy kierownicy, że go w mig wszystkiego nauczą. Potem, będzie ci pomocą w domu i na roli.

I Grzędzina poszła za radą kapłana.

Dziwiono się we wsi, ale i gorszono po trochu.

— Co to — mówili starsi gospodarze. — Mało chłopakowi tego, czego przy nas się mógł nauczyć? Do orania skołów nie potrzeba! Dziad,

http://rcin.org.pl

pradziad przez edukacji orał, siał i zbierał. Na co chłopom jakieś wymysły?

A kumoszki szeptały między sobą:

— Nie mogłaby to Grzędzina jeszcze raz za mąż wyjść?

— Ojczym by chłopaka gospodarstwa wyuczył...

— Ziemi coś ze sześć morgów mają...

— I krowa jest...

— Koń z wozem...

— Świń ze trzy...

— I drobiu mrowie...

— Raiłam jej Kacpra Wojterę za męża... Mocny chłop!

— A ja Walentego Chmiela, też chłop w sobie zawzięty...

— Już wy, aby z tym pijakiem dajcie spokój...

— Niby z kim?

— Juści z Chmielem...

— To Wojtera nie pije?

— Pije, ale w kompanji, a Chmiel potrafi pić sam do siebie.

— Może ma z wami pić?

— Tfy! wolałabym...

— Co? Cobyście woleli?

— A cóż Michalska rozwiera na mnie gębę jak wrota?

— To niech Kudina nie pomiata Chmielem!...

http://rcin.org.pl

— Tfy!

— Tfy!

Kłóciły się baby o Grzędzinę, ale ta trwała w godnym stanie wdowieńskim i myślała tylko o przyszłości swego jedynaka, który z „zatraconego obwiesia“ wyrastał na coraz porządniejszego młodzieńca.

Grzędzina patrząc na Jacka, z podziwu wyjść nie mogła:

— Odmienili go tam, w ty skole, czy co? — dumała, dziękując raz po raz księdzu za dobrą radę.

A proboszcz ręce zacierał i upatrywał we wsi nowego „obwiesia“, któregoby pragnął pchnąć śladem Jacka. Oczy kapłana spoczywały często na Wojtku Podwale, atoli chłopak trwał w ścisłej zażyłości z Ickiem, tem ściślejszej, że żydziak oplątał go siecią różnych występków i groźbami krępował coraz mocniej.

IV.

Z biegiem czasu mały Icek wyrósł na dużego Icka. Przybyło mu doświadczenia i poczuł w sobie siłę, która go pchała na szerszą arenę świata.

Matka konserwatystka i syn postępowy nie mogli się z sobą dopasować.

Żydówka po dawnemu handlowała solą, naftą

http://rcin.org.pl

i śledziami — żydek myślał o kupnie krów i zboża, a dla wprawy wypożyczał małe sumki na duże procenty.

Matka w chwilach wolniejszych od codziennych zajęć w sklepiku fabrykowała wódkę ze skażonego spirytusu — słodką miętówkę i rozpajała nią pocichu baby we wsi.

Umilało jej to życie i wypełniało kieszeń świeżym groszem, a że tam od czasu do czasu po żydowskiej miętówce, jaka baba zawcześnie świat pożegnała — to co? — wzruszała ramionami żydówka. — Czy to sklepiczarka temu winna? Czy to wiadomo, skąd na kogo spadnie nieszczęście? Kto tak mądry, że zgadnie, co nań jutro przypadnie? — kończyła zasłyszanem we wsi przysłowiem.

Z każdego jednak przypadku umiała wyciągnąć dla siebie korzyści. W razie czyjejś śmierci we wsi ona zjawiała się pierwsza w roli pocieszycielki. Szła z miętówką w kieszeni pocieszać osieroconych i badała ostrożnie, czy jest za co pochować nieboszczyka, bo ona gotowa jest zaraz wygodzić pożyczką pod zastaw i na mały procent.

— Z duszy serca dałabym bez zastawu i procentu — mawiała, wzdychając — ale się boję Icka, on jest już teraz duży i ciągle jeszcze obraziony na całke wesz za to bicie o jabki, co je Wojtek, ten złodziej, kradł u księdza. Od tego bicia naprawdę coś Ickowi w środku popsuli... Czasem to sobie miszle, że jemu serce stward-

http://rcin.org.pl

niało. Ja za to mam zawsze jednakową miłoszcz dla was wszystkich we wsi, bom się z wami zżyła i niejedną dolę gorzką moją i waszą opłakałam.

Nic więc dziwnego, że podobne wystąpienia żydówki wyrobiły jej opinję dobrej osoby „starozakonnej". O Icku mówiono poprostu, że się z niego zrobił — żyd zakamieniały.

Żydówka z synem miała częste przeprawy. Pewnego razu przemówiła doń ostro:

— Dlaczego się ty ciągle gdzieś włóczysz? Dlaczego nie pomożesz starej matce pilnować sklepiku?

— Czego ja mam pilnować? — szydził Icek — tych paru złotych, co się dziennie targuje? To dla mnie interes? Ja potrzebuję dużo pieniędzy, ja muszę być bogaty!

— Icyk, ja się bardzo martwię o ciebie. Ty masz a gite kepełe, to prawda jest, ale ty sobie pamiętaj, że kto w ogniu grzebie, ten się może oparzyć. Ty już za ten twój handel z chłopami masz ciągle nieprzyjemności i możesz mieć kiedy jeszcze duże nieszczęście.

— Niech mama będzie spokojna, ja już mam dosyć chłopów, ja sobie teraz chcę trochę pohandlować z panami!

W kilka dni po tej rozmowie wpadł rozpromieniony do sklepiku i wykrzyknął radośnie:

— Mamo! ja wziąłem ogród dworski w dzierżawę!

http://rcin.org.pl

— Icele! — krzyknęła przerażona żydówka — ja widze, że ty naprawdę zwarjowałeś! Jak ty sobie z ogrodem poradzisz?

— Mama mi pomoże.

— To nie dla mnie robota pilnować ogrodu, mnie dosyć mojego sklepiku!

Icek zafrasował się trochę, lecz widać myśl szczęśliwa przyszła mu do głowy, bo rzekł z pewną zarozumiałością:

— Dlaczego mnie mama nie ożeni?

Żydówka aż klasnęła w ręce z radości.

— Prawda, Icyk! mnie to całkiem wyszło z pamięci, że ty masz już swoje lata i potrzebujesz się ożenić!

I tak szczerze zajęła się przyszłością syna, że tego samego dnia jeszcze udała się do sąsiedniej wioski, gdzie mieszkał jednooki Mordka Szpas, krawiec z zawodu, zajmujący się również kojarzeniem małżeństw żydowskich.

Mordka spostrzegłszy wchodzącą do niego żydówkę, powitał ją uprzejmie:

— Moje szanowanie dla pani Ryfki Szacherman, jaka okoliczność panią do mnie sprowadza? Może nowy garnitur mam dla syna zrobić?

Żydówka uśmiechnęła się czule i przystąpiła wprost do interesu.

— Potrzebuję mego Icka ożenić z panną bogatą...

— Bardzo szczęśliwie pani Szacherman trafiła, mam wybór dziewic. Zna pani córkę od Jankla, pannę Wiatrak?

http://rcin.org.pl

— Gęba jak pytel, a posagu nic — odrzekła krótko.

— To od Mendla Cichego...

— Też goła, ordynarna i pyskata żydówka... Wolałabym coś z arystokracji...

— Mam! mam! — zawołał Mordka. — Fajn osobę mam, sam cymes, prawdziwy specjał króla Salomona! pannę Jentę Bas. Bardzo porządna, skromna i zadziwiająco piękna dziewica: oczy jej jak dwa gołąbki wyzierają z pod bujnych złotych kędziorów, zęby ma jak stado równych owiec białych, wychodzących z kąpieli, usta jak wstążeczkę karminu, szyję jak wieża Dawida.

— Tego faktu Icek niepotrzebuje — przerwała niecierpliwie żydówka — pan mi powiedz odrazu, czy ona ma pieniądze?

Swat rozłożył ręce i pokiwał smutnie głową.

— Oj, pani Szacherman — rzekł — żeby ten marcepan miał, do tego co już ma, jeszcze pieniądze, toby go dawno jaki hrabia zjadł...

— Pan Mordka Szpas robi z interesu poezję? Mówiłam, że chcę dla Icka panny bogatej...

— I to może być! Co pani Szacherman powie naprzykład na taką osobliwość, jak panna Regina Grafman?

— Podobno felerowata jest...

— Felerowata jest? Kto to powiedział?

— Mówią, że ma garb...

— Garb? jaki garb? Kto widział u niej garb?

Fundacji im. J. I. Michalskich * Ze zbiorów

http://rcin.org.pl

Ja ją tyle lat już znam i wcale żadnego garbu u niej nie widziałem... Ma trochę wyższą łopatkę jedną, ale nie garb.

— Przytem kulawa...

Mordka Szpas przełknął ślinę i śmiechem wybuchnął:

— Kochana pani Szacherman — zaczął po chwili. — Ja się mocno pani dziwię... To pani chcesz synowej, żeby domu nie pilnowała? Ożeń pani swego Icka z kozą — niech mu skacze!... Niech ma z nią ciągle zmartwienie!...

— Uspokój się pan, panie Szpas. Ja jeszcze nie powiedziałam ostatniego słowa... Ja bym ją dla Icka wzięła, żeby nie ten wrzód co ma na lewej twarzy...

— I to ma być feler? — zdziwił się Mordka.

Żydówka pokręciła głową.

— To ma być feler? — powtórzył. — Przecie to można wykurować, nie mówię z okiem...

— Jakto z okiem?

— Bo ona ma jedno oko trochę krzywe, a na drugie cokolwiek niedowidzi, ale za to ma cały nos, ten piękny, żydowski, typowy nos, a pani wie, że w każdym interesie potrzebny jest zawsze dobry nos...

— I co stary Grafman za nią daje?

— Grube pieniądze!

— Ja wiem, że on jest bogaty, ale ile daje?

— Całe dwa tysiące!

— Rubli?

http://rcin.org.pl

— Złotych...

Panie Mordka, pan zwarjował! Kto dziś na złote rachuje?

— Każdy porządny polski żyd rachuje na złote! Ja nie jestem litwak, żebym na ruble rachował. Chcesz pani rubli, idź pani do mego konkurenta Mojszy Srulowicza Skotinowera, on ma litwaczki z rublami, ale niech sobie pani i to weźmie na obserwacje, że przy tych rublach może jaki kryminał być.

Pani zna Litwaków? To są gałgany i złodzieje! Lubi pani takie koligacje? Owszem, niech one pani razem z Ickiem służą na zdrowie... Ja bym to wychorował!

— Panie Mordka kochany, za co się pan gniewa? W interesie musi być wszystko naprzód omówione. Ja mogłabym się zgodzić na pannę Reginę, ale trzeba te złote przemienić na ruble. Ja wiem, że Grafman bardzo bogaty jest.

— A co ja na tem zarobię?

— A co pan Mordka sobie rachuje za fatygę?

— Pięć procent od całej sumy posagowej.

— Oj waj! to za dużo jest!

— Skotinower może taniej zrobi, idź pani do niego... On ma coś trzy litwaczki na wydaniu...

— A jak powiem zrób pan interes z Grafmanem, to panu wystarczy?

— Owszem ja mogę to zrobić... mogę poga-

http://rcin.org.pl

dać ze starym Grafmanem, tylko naprzód spiszemy sobie z panią umowę o wypłatę procentu.

— Wypłacę rzetelny procent... masz pan na to moje słowo...

— Ja wolę mieć od pani na to kwit...

Po długich targach pani Szacherman napisała, a pan Mordka przeczytał i schował kwit na dwa i pół procent, płatny w dniu wesela panny Reginy Grafman z panem Ickiem Szachermanem.

— Strasznie miękki jestem — westchnął swat, żegnając gościa.

— Przecież ja też nie twarda — roześmiała się żydówka. — Będę teraz od pana oczekiwała wiadomości. Do widzenia.

— Moje szanowienie.

Gdy wyszła, Mordka zatarł ręce z radości. Bez kłopotu ładnie zarobi, bo stary Grafman trochę litwak, liczył na ruble. Dawał dwa tysiące rubli posagu, żeby tylko wypchnąć za mąż córeczkę z felerami.

Mordka Szpas, nie zwlekając zamknął swój interes krawiecki, czyli wpiął igłę w czapkę, owinął w koło niej nitkę i ruszył do Grafmana.

— Tata jest? — zapytał córki, grzejącej się na słońcu przed domem.

— Pan ma do taty interes? Nie wiem, gdzie teraz jest — odrzekła sucho.

— I dla panny Reginke, mam też śliczną nowinkę...

http://rcin.org.pl

Żydóweczka pąsem się oblała, zasłaniając chustką twarz, z jednej strony zapuchniętą.

— Jest kawaler — dodał cicho swat.

— Panie Mordka Szpas, to jest bardzo głupi żart.

— Na moje sumienie, prawdę mówię...

— Tata jest w bóżnicy... Idź pan tam do niego — ożywiła się panna Regina.

Mordka zmrużył filuternie oko i rzekł:

— Niech panienka tymczasem z mamą pogada, żebym ja coś na tem zarobił!...

— Jak pan Mordka Szpas szczęśliwie wszystko przeprowadzi — odezwała się nagle pani Grafman, która wysłuchała rozmowy z córką za drzwiami — to pan Mordka Szpas napewno odemnie coś ekstra zarobi...

— Niech mi pani to napisze...

— Masz pan moje słowo...

— Ja wolę kwit...

— Niech mama napisze, co to mamie szkodzi? — skrzywiła twarz do uśmiechu córeczka.

I Mordka Szpas po chwili schował do kieszeni drugi kwit na wypłatę dwóch i pół procent w dniu wesela panny Reginy Grafman z panem Ickiem Szacherman.

Z Grafmanem poszło mu jak po maśle, stary żyd zaprosił Mordkę do szynku na kufelek piwa, tam obaj całą sprawę ściśle rozważyli i obgadali. Grafman dla zwyczaju trochę się potargował, lecz w końcu dał Mordce kwit na całe

http://rcin.org.pl

pięć procent i trzy ruble zaliczki w gotowiźnie na przedwstępne koszta związane z obowiązkami swata.

Pani Szacherman dowiedziawszy się od Mordki jak sprawa ożenku stanęła, oznajmiła radosną nowinę Ickowi:

— Icele mein kind, znalazłam dla ciebie żonę.

— Ma pieniądze?

— Tysiąc dziewięćset pięćdziesiąt rubli...

— Dla czego nie całe dwa tysiące?

— Bo swat dostanie pięćdziesiąt.

— Ja mu nie dam ani grosza...

— Wystawiłam mu na to kwit...

— To mama będzie płacić...

Pani Szacherman zachwycona była odpowiedzią oszczędnego synalka, ale mimo to rzekła:

— Wstydź się Icuś, mnie twoje skąpstwo martwi bardzo, przecież ty wejdziesz w bogatą rodzinę. Stary Grafman ma grube pieniądze i córkę jedynaczkę. On ją bardzo kocha...

— To ją sobie może w domu zostawić, a mnie tylko niech posag wypłaci...

— Icele? — westchnęła matka. — To ty mi na stare lata żałujesz nawet wnuka?

Synalek wzruszył obojętnie ramionami, ale w kilka tygodni rozbił szklankę weselną z panną Reginą.

Mordka Szpas za szczęśliwe skojarzenie małżeństwa nie wziął procentów jakich się spodzie-

http://rcin.org.pl

wał, kwitki bowiem dobrze były napisane, atoli żadne z wystawców nie kwapiło się zaznaczyć na rewersie, od jakiej sumy Mordka Szpas miał dostać procenty. Podniósł tą kwestję Icek Szacherman i Mordka Szpas za swoje niedopatrzenie utracił ciężki grosz.

Krawiec rzucał się, ciskał i pluł, lecz Icek był niewzruszony.

— Takie pieniądze chce Szpas wziąć i za co? Za to, że ja się z panną Reginą żenię?

Starzy Grafmanowie dali jednak po cichu jakieś stuligębne Szpasowi i matka Icka też coś swatowi w rękę wetknęła. Mimo to Mordka poprzysiągł sobie w duchu, że przy zdarzonej okoliczności z Ickiem się porachuje.

Nie przeszkodziło to swatowi być duszą wesela, które z wielką pompą stary Grafman młodej parze wyprawił.

Mordka Szpas dyrygował na tym weselu, „wymięsianą“ muzyką „z klarnet, trąbę i bas“, co tak głośno grała, że całe miasteczko psileciało oglądacz szmietanke żydowskiego towarzystwa, które sobie robiło tańcowanie do białego rana“.

Tak później brzmiały relacje zaproszonych gości.

Opowiadali oni jeszcze, że jeden z krewnych pana młodego, stary, uczony żyd, co rodały przepisuje, miał całe gadanie z bardzo mądrym końcem, zapożyczonym od pewnego cudownego rabina, że: co buło to my wiemy, co jest — to

http://rcin.org.pl

widzimy, a co będzie — zobaczymy, więc wiwajt! niech żyje młode pare.

— Niech sobie żyje za zdrowie! — powtórzyli goście i tak się zakończył pamiętny dzień w życiu Icka, przerwany na chwilę, nieoczekiwanem wtargnięciem pijanego Wojtka Podwały, który, uraczywszy się butelką słodkiej miętówki, skradzioną pani Szacherman, jął wrzeszczeć, co miał siły.

— Icek, psianogo! nie zaprosiłeś mnie na wesele, ale ja i tak zdrowie twoje wypiłem!... Daj pyska!

— Wirzucić go! wirzucić! — krzyknęli weselnicy, zaciskając pięści.

Icek jednakże zasłonił Wojtka, dał mu trochę smakołyków, wyprawił szczęśliwie za drzwi i rzekł do zgromadzenia:

— Uspokójcie się! Sza! panowie, to mój dobry przyjaciel!

Urocze chwile miodowych miesięcy państwo młodzi spędzili nader poetycznie, bo w cieniu drzew, obciążonych owocem. Wprawdzie willa ich była to tylko buda sklecona ze starych bron, ofiarowanych przez dziedzica i obszyta słomą, lecz wystarczała im zupełnie.

Gospodarstwo mieli zasobne: „kochane bidle“ — koza, dostarczała im mleka, a „sialony pies“ bronił ich własności.

Życie tedy mieli dostatnie: często bowiem Wojtek Podwała dostarczał im za bezcen kury,

http://rcin.org.pl

kaczki, a nawet gęsi, które z apetytem i szybko spożywali zapewne w obawie nieprzyjemnych zatargów ze wsią, albo dworem.

Icek wiódł życie rajskie, a że ogród dotykał dworu, nic więc dziwnego, że żyda oczy często się w tę stronę zwracały i że Icek układał plany, których śmiałość jego samego czasem przerażała, stawał się wówczas milczącym, pokornym, uniżonym, skarbił sobie łaski dziedziców drobnemi usługami, z czasem zaczął nawet załatwiać interesy poważniejszej natury, aż doszedł do tego, aż stał się niezbędnym dla dworu!

Najprzykrzejsze wydawały mu się zimy, w czasie których musiał ogród porzucać i wyprowadzać się do matki, co osłabiało stosunki jego i znaczenie we dworze.

V.

I stara Grzędzina chciała Jacka ożenić.

— Jedynak, od wojska wolny, gospodarz zawołany, jeno mu gospodyni rzetelnej brak w chałupie — mawiała, upatrywując we wsi synowej.

— A matula to niby nie gospodyni? — wzruszał Jacek na to ramionami. — Bo nam we dwójkę źle? — mawiał stale.

— Ja mój synku wiekować nie będę — tobie już żona potrzebna, przecie w lata idziesz... Upatrzyłam ci nawet dziewuchę taką, że ino brać za flachę i duchem do niej w zaloty...

http://rcin.org.pl

— Dajcie mi matula spokój, niemam chęci do żeniaczki...

— Co z ciebie za chłop? — oburzała się Grzędzina, rada jednak w duszy, że rządom jej w chałupie nic nie zagraża.

Ale, jak mawiała pani Ryfka Szacherman „czy to wiadomo, skąd na kogo spadnie nieszczęście!"

Zapadła raz Grzędzina ciężko na zdrowiu, niecałe dwa dni chorowała i umarła.

Jacek darł sobie ze łba włosy i gorzko stratę matki opłakiwał.

Zbiegły się sąsiadki, przyszła pani Ryfka Szacherman i też w płacz misternie udany uderzyła.

— Ojoj! już pan Jacenty sirota jest! Ojoj! co to buła za kubita! czysty brylant w złoto oprawiony! Wa mir! znowu rzetelną przyjaciółkę straciułam!

Tak płacząc i zawodząc, spytała szeptem Jacka:

— Ma ją pan za co pochować?

Jacek westchnął.

— Musi być za co — prawiła dalej żydówka — przecie mamusia pana Jacentego była bardzo oszczędna i zawsze miała pieniądze...

— Toć miała, sam widziałem, ale gdzie je schowała — nie wiem... Nie mogę grosze znaleźć nigdzie...

— To ja panu Jacentemu tymczasem wigodzę. Dużo pan Jacenty potrzebuje?

— Chyba z pięćdziesiąt rubli...

http://rcin.org.pl

— Mogę dać, dlaczego nie, sama akurat nimam, ale od Icka pożyczę... Tylko, że jak się on teraz bogato ożeniał, to bierze podwójny procent i zastawu żąda.

— Trudno, niech bierze co chce — matkę pochować uczciwie muszę.

. . . . . .

Z wieży kościółka odezwał się dzwonek na Anioł Pański, rozpłynął się echem po wsi, wpadł do lasu i skonał w ciszy wieczornej, żegnany szczebiotem ptactwa i żab rzechotaniem, które z wonią kwiatów łagodny wietrzyk z łąk przynosił.

Proboszcz, siwy staruszek, przechadzał się po cmentarzu kościelnym i odmawiał półszeptem pacierze, zasłuchany w pieśń przyrody. Wtem u bramy cmentarnej skrzypnęła furtka i wszedł, a raczej wsunął się przez nią Jacek Grzęda. Podszedł do księdza, pocałował go w rękę, objął potem za nogi i wybuchnął rzewnym płaczem.

— A tobie co się stało? — zaniepokoił się staruszek.

— Sierotą zostałem — załkał głucho.

— A matka? — zdumiał się proboszcz.

— W samo południe dziś umarła...

— U-mar-ła?

— Wczoraj od rana pokładała się na łóżku, chciałem jechać po doktora — przejdzie mówiła... Dziś zaprzągłem do woza i już ruszałem po ojca duchownego — nie dała; co będziesz

http://rcin.org.pl

dobrodzieja fatygował po próżnicy, kiedy mi nic nie będzie... Zeszły się sąsiadki, wygnały mnie z chałupy... zaczęły matkę przemierzać, natrząsać, gnieść i okurzać — nic nie pomogło, wzięła i umarła...

— Umarła — powtórzył staruszek, szczerze zasmucony. — Ha! — westchnął — Wola Boska! Straciłeś dobrą matkę i skrzętną gospodynię. Musimy ją godnie pochować...

— Ja też względem pochowku — bąkał Jacek, wyjmując z zapazuchy banknoty.

— A ty zkąd masz tyle pieniędzy? — zdziwił się proboszcz.

Jacka przeszły płomienie.

— Pożyczyłeś — badał proboszcz.

— Ano — bąknął Jacek.

— Od kogo?

— Od żydów...

— Aha! — burknął staruszek. — Jak bieda, to do żyda... Czemu żeś to do mnie zaraz nie przyszedł? Zapomniałeś, gdzie plebania? A czy ty wiesz, że twoja matka, świeć Panie nad jej duszą, zostawiła u mnie depozyt dla ciebie? Mów mi zaraz prawdę ile pożyczyłeś i jaki procent za to zdarli z ciebie?

— Ano — westchnął Jacek — miała dać pięćdziesiąt rubli, ale dała jeno czterdzieści pięć, bo sobie z góry za tydzień procent strąciła.

— Coo? pięć rubli procentu za jeden tydzień? A wiesz ty, ile to na rok uczyni? Bez mała tyle

http://rcin.org.pl

ile ci twoja nieboszczka matka przez całe życie swoje ciężką pracą uzbierała i u mnie zostawiła.

— Krowę też żydy na zastaw wzieły — dodał Jacek pochlipując.

— Jeszcze i krowę!.. Boże!.. Boże! — westchnął staruszek. — Ulituj się nad biednym ludem Twoim!

I przeszedł się kilka razy po cmentarzu, rozważając coś pilnie.

— Masz wszystkie pieniądze przy sobie? — spytał nagle.

— Jeno zadatek dałem stolarzowi na trumnę, a resztę mam...

— Poczekaj tu na mnie chwilę. Pójdziemy razem do żydów.

. . . . . .

O zmierzchu już pędził Jacek krowę z powrotem ku domowi.

Żydówka nastraszona przez księdza procesem o lichwę zwróciła skwapliwie Jackowi kwit i krowę. Wzięła nazad swoje pieniądze i przysięgła uroczyście, że więcej podobnych interesów we wsi robić nie będzie.

— Po co mi taki wstyd na stare lata — mówiła do gromady ciekawskich, gdyż niezwykłe wystąpienie księdza, prawie całą wieś poruszyło.

— Trza z tymi parchami porzundek raz zrobić — szemrali jedni.

— Pan Bóg nie rychliwy, ale sprawiedliwy —

http://rcin.org.pl

dodawali drudzy. — Zobaczyła, że i na nich przyjdzie kuniec ostateczny.

A tak wszyscy byli zawzięci, że pluli nawet na słodką miętówkę, którą ich żydówka traktować próbowała.

. . . . . .

Graniata ostro szła, ale oglądała się co chwila jakby się chciała upewnić, że Jacek za nią idzie. Szła, trzęsła łbem i cicho porykiwała.

Jackowi wyraźnie się zdawało, że krowa mu coś przygaduje, więc po trochu krowie, a więcej swoim myślom odpowiadał:

— Juści, dobrodziej rzetelnie powiedział, że chłopa własna jego głupota gubi...

Zmilkł na chwilę, wspomniał o dobrej nieboszczce matce i nagle zaniósł się takim płaczem serdecznym, że aż krowa przystanęła i zaczęła swego pana obwąchiwać.

Oprzytomniło to Jacka, pogłaskał bydlę i rzekł zdławionym głosem:

— Chodź Graniata, nie bój się, krzywdził cię więcej nie będę, biedna sieroto...

. . . . . .

W chacie Grzędziny anioł śmierci zapanował.

Nieboszczka leżała w komorze na barłogu, tak, jak ją tam z łóżka kumoszki dla lekkiego skonania wywlekły.

Gromnica sterczała w kącie, kilka bab obsiadło stół w izbie i szyło śmiertelny przyodziewek dla

http://rcin.org.pl

Grzędziny. Raz po raz przepijały do siebie wódką, żeby ich „trud od ciała nie obleciał".

Szyły i naradzały się nad przyszłością kawalera-sieroty.

Obmyślały mu towarzyszkę życia.

— Chłop jak malowanie — mówiła jedna.

— Stateczny — odezwała się druga.

— Nie pijanica — dorzuciła trzecia.

— Gospodarstwo zamożne — wtrąciła czwarta.

— Szczęśliwa będzie, co go za męża dostanie — zgodziły się na jedno wszystkie razem.

— Możeby mu Magda pasowała?

— Jabym tam raiła Zośkę.

— A bo Baśka bele co?

— Cichojta... Nic, ino go z Józką ożenimy...

— Kiej on pono za Elżbietką, dworską pokojówką ślepiami strzela... Ona też zęby szczerzy do niego, widziałam.

— Może?

— Onegdaj ich zdybałam przy sadzie...

— Dziś go też widziałam z nią w dworskim ogrodzie...

— E, bo on dziś za pieniędzmi latał do Icka...

— Pożyczył mu?

— Coś pięćdziesiąt rubli, przez pięciu...

— Ale krowę wziął na zastaw.

— Mój Boże! Jacek dla matki krowę zastawił... Co się tu dziwować, kiedy mu porządne gospodarstwo w spadku przyszło.

http://rcin.org.pl

— Pieniędzy mu nie ostawiła, choć ją wszyscy za bogaczkę mieli...

— Może gdzie w garku zakopała...

— Cichojcie-no, ktoś wszedł na podwórko.

Jednocześnie prawie ukazał się łeb krowy w oknie.

Zajrzała do izby i ryknęła donośnie.

— Wszelki duch Pana Boga chwali — wrzasnęły baby, zrywając się od stołu.

— I ja Go chwalę — przemówił Jacek, wchodząc do izby.

A krowa wetknęła łeb głębiej przez otwarte okno, dmuchnęła niespokojnie nozdrzami i poczęła wydawać z siebie ciężkie stękania; zdawało się, że opłakuje śmierć swojej żywicielki.

. . . . . .

Blaski dnia gasły coraz więcej, księżyc wytoczył się z poza lasu i płynął po niebie tak cicho, jak pacierz księdza, który, wróciwszy do domu, kazał uderzyć we dzwony na znak, że dusza ludzka ziemię opuściła.

VI.

Był piękny dzień wrześniowy.

Icek otrząsał z drzewa owoce — Ickowa sortowała je troskliwie, odkładając robaczywki na sprzedaż świąteczną przed kościołem. Co prawda nie przed kościołem, tylko cokolwiek dalej, pod

http://rcin.org.pl

płotem ogrodu dworskiego, bo ksiądz proboszcz żydów nie lubił i nie pozwolił handlować im tuż przy świątyni Pańskiej.

Żydówce pomagała pokojówka dworska i śmiała się razem z nią co chwila.

— Doprawdy — przemówiła wreszcie Ickowa — z panną Elżbietą, żeby nie wim jakie buło zmartwienie, — śmiać się trzeba.

— Jakież pani Ickowa może mieć zmartwienie?

— Bo to jedno? Choćby napsikład to, że jest dużo towaru gotowego, czas go wywieźć do miasta, a tu w całej wsi nie można dostać furmanki, wsiscy orzą...

— Trzeba poprosić we dworze.

— Icek prosiuł, cóż kiedy konie też bardzo zajęte w polu. Zieby panna Elżbieta chciała dopomódz naszej bidzie, toby furmanka zaraz była...

— A to w jaki sposób?

— Jedno słowo panienki do pana Jacentego — wistarczy...

— Przecież nie pójdę z tem do niego...

— Po co chodzić? Pan Jacenty od godziny kręci się tu przy furtce, za ogrodem.

— Ja go nawet widzę z drzewa — dorzucił Icek, trzęsąc gałęzią.

. . . . . .

Czego to nie zrobią piękne oczy dziewczyny! Jacek za nic w świecie nie wysłuchałby próśb żydowskich — jedno słowo modrookiej Elżbietki rzeczywiście wystarczyło.

http://rcin.org.pl

Umówiono się też niebawem, że po Ickowym szabasie i Jackowej niedzieli jabłka będą do miasta wywiezione.

Z piątku na sobotę objął rządy w ogrodzie Wojtek Podwała, jak to zresztą zawsze bywało, gdy państwo Schacherman szabasowali u matki swojej w sklepiku.

Icek wyprawił naprzód żonę, poczem razem z Wojtkiem poprzenosili do spichrza dworskiego worki z jabłkami, a gdy towar z wiedzą dziedzica, włódarz zamknął, Icek raz jeszcze zaszedł do budy w ogrodzie, zabrał kołdrę z poduszkami i wkońcu szepnął do Wojtka:

— Będziesz sobie leżał na sienniku jak sam dziedzic, tylko pamiętaj nie zaśpij.

. . . . . .

Icek do późnej nocy, wyśpiewywał natchnione hymny na chwałę Jehowy.

Nie przeszkadzało to spać starej i głuchej już trochę matce, ale drażniło małżonkę Icka, która co chwila wysuwała głowę z pod pierzyny i pytała sennym głosem:

— Icek, co ty dziś tak długo śpiewasz?

— Szluf Reginke — odpowiadał jej mąż, rozśpiewany jak cietrzew na toku.

Lecz pani Regina spać niechciała.

Kręciła się niespokojnie na łóżku, jęczała, wzdychała i nagle gdy Icek wziął w śpiewie najwyższą nutę, wyskoczyła z pościeli i wrzasnęła przeraźliwie:

http://rcin.org.pl

— Aj waj mir!

— Szraj niszt! — ofuknął ją Icek ostro, atoli pani Regina nie przestawała wrzeszczeć i wskazywać ręką na okno:

— Patrz! patrz! — wołała — co się tam dzieje.

Icek spojrzał, zły uśmiech przemknął mu po twarzy, lecz wnet się opanował, skoczył do sklepiku, gdzie matka jego spoczywała, zaczął nią wstrząsać i wrzeszczeć na całe gardło:

— Mame! fa-fajer!

— Fajerrr! — zawtórowała już całkiem swobodnie pani Regina. Dopomogła jej z całych sił matka i obie razem zaczęły wnet wydawać takie piskliwe tony, że Icek stracił głowę, przyskakiwał to do jednej, to do drugiej, zatykał im rękami usta i wołał:

— Hałte pisk! Szraj niszt! Co to za gwałt! Przecie to nie u nas się pali!

— A gdzie się pali! — jęknęły płaczliwie żydówki.

— Stodoły dworskie się palą.

— A ja myślałam, że i mnie już ogień całą ogarnął... Patrz jaka jestem gorąca... Sprobój Icek ręką jak mi serce bije...

— I mnie też serce bije — wtrąciła matka.

— Ja się także bardzo wystraszyłem — zapewnił Icek.

— Napij się wody — poradziła matka.

http://rcin.org.pl

— Czego te chłopy tak krzyczą i z workami lecą? — szepnęła Ickowa.

— To wiejski zwyczaj — pokiwała głową matka. — Jeden z wiadrem, a dziesięciu z workami do ognia leci.

— Icyk! Icyk! — wrzasnęła znowu pani Regina. A nasze jabłka w spichrzu! One się też spalą?

— Nie lękaj się, śpichrz stoi daleko... Zresztą ja zaraz tam będę. Niech mama pilnuje sklepu i Reginki — mówił, zaciągając spiesznie kubrak jakiś na siebie.

— Zamknijcie się obie na klucz! — krzyknął im ze dworu.

Wśród łuny, świecącej złowrogo i kłębów czarnego dymu uwijała się służba dworska około płonących stodół.

Obok stał dziedzic i wydawał krótkie, nerwowe rozkazy.

Do niego przypadł Icek, objął go za nogi i jął prosić płaczliwie:

— Panie dziedzicu! Jasznie panie dziedzicu!

— A ty czego?

— W śpichrzu są moje jabki... Niech jaśnie pan dziedzic pozwoli mi je wiratować!

— Co tam twojeg łupie jabłka! — dmuchnął dziedzic. — Patrz, mnie zupełnie djabli biorą! Cała krescencya tegoroczna płonie!...

— Oj waj mir! Ja ciuję to wielkie nieścięście.

Dziedzic odwrócił się do dwóch najbliższych ludzi i rzucił rozkaz krótki:

http://rcin.org.pl

— Kuba z Bartkiem poszukajcie Pukały, niech śpichrz otworzy. Wyniesiecie jabłka Ickowe, a potem co się da!

— Wojtek wam pomoże — wtrącił żyd — poszukajcie tymczasym pana Pukalskiego, a ja skoknę po Wojtka... Dżywno mi, że go tu dotąd nima... Pewno śpi w budzie pijany...

To mówiąc ruszył do ogrodu i zajrzał do budy.

Wojtka Podwały nie było.

— Wa mir! — zatrząsł się przerażony. — Gdzie on się podział?

. . . . . .

Nazajutrz po pożarze, który do szczętu strawił obie stodoły napełnione zbożem, zjechała straż ziemska i rozpoczęła śledztwo urzędowe.

Nikt nie widział nic, na nikogo nie mogło być posądzenia, ot, zwykła nieostrożność służby dworskiej lub niebacznie rzucony niedopałek papierosa musiały wywołać katastrofę.

Jeden Wojtek Podwała możeby mógł coś powiedzieć o tym ogniu.

Przecież pilnował w nocy ogrodu.

Ale Wojtek Podwała znikł jak kamień w wodzie.

Dziwiło to straż ziemską i ludzie we wsi z podziwu wyjść nie mogli, gdzie Wojtek przepadł.

Zarzucano Icka pytaniami, lecz i on nic nie

http://rcin.org.pl

wiedział, a może nie chciał wiedzieć; co się z Podwałą stało.

Teraz Icek myślał tylko o tem, jakby dziedzicowi „wigodzić“ pożyczką.

Chciał posag żony na gruby procent u dziedzica złożyć.

Uzbroił się jednak w cierpliwość i oczekiwał wezwania, pilnując tymczasem, żeby mu jaki bankier małomiasteczkowy w drogę nie wszedł i ślicznego interesu całkiem nie popsuł.

Jak przezorny wódz, gotujący się do ataku, jednał sobie tymczasem na wszystkie strony sprzymierzeńców.

Był pewny swego, a jednak dreszcze go przeszły, gdy został wezwany do dworu.

— Słuchaj Icek — zaczął dziedzic prosto z mostu — potrzebuję pieniędzy.

— Pie-pieniędzy? — powtórzył żyd z odcieniem zadziwienia w głosie.

Zniecierpliwiło to dziedzica, więc huknął groźnie:

— Cóż się bałwanie dziwisz? Wiesz przecie co mnie spotkało!

— Psieproszom jasznie pana dżedżyca... to buło wielkie nieścięście, ale musiało być sekuracje?

— Djabła tam — bąknął dziedzic — żebym był ubezpieczony, tobym cię tu nie wzywał. Mam wprawdzie znajomość z żydami w miasteczku, ale pomyślałem sobie, że skoro ty już

http://rcin.org.pl

trzymasz u mnie ogród, to możebyś i pacht wziął w dzierżawę?

— Pa-pa-pacht? — wybełkotał Icek, wzruszony niespodzianą propozycją.

— Wypuszczę ci nie drogo, na lat pięć, jeżeli mi wszystkie pieniądze zapłacisz z góry...

— Z góry? a skąd ja wezmę tyle pieniądzów.

— To twoja rzecz. Daję ci na to trzy dni czasu. Za trzy dni przyniesiesz mi pieniądze albo odpowiedź. A teraz idź z Bogiem.

Icek oszołomiony wybiegł z dworu i udał się wprost do matki.

— Icie! Mnie się dziś śniło, że ty wygrałeś wielki los — odezwała się żydówka, wysłuchawszy relacji syna — Ja ci jednak co do tego pachtu nic powiedzieć nie mogę... Ja naprawdę jestem na to za głupia. Jedź ty zaraz do Grafmana, to mądra głowa, on ci dobrze poradzi!

— A jak mi zrobi konkurencje?

— On już za stary na taki interes, zresztą to przecie twój teść, ty możesz być o niego spokojny.

Icek, nie zwlekając, pobiegł na wieś szukać furmanki.

Chodził od chałupy, do chałupy — wszystkie konie były zajęte, więc zaszedł do Jacka, wiedząc, że ten z gospodarką nie marudził i zawsze najpierwszy roboty w polu kończył.

— A ciebie po co tu djabli przynieśli? — powitał go Jacek chmurnie.

http://rcin.org.pl

— Panie Jacenty, zmiłuj sze pan, zione mi zachorowało, muszę jechać do doktora — skłamał Icek, licząc na dobre serca Jacka.

— Cóż się żonie stało?

— Czy to można wiedzieć — łgał Icek. — Una ma takie dżywne słaboszczów, co jej włazi w lewy bok, z lewego boku przechodzi w prawy i znowu się ztamtąd wraca z powrotem.

Jacek zamyślił się chwilę, potem rzekł twardo:

— Słuchaj, powiem ci prawdę, dla ciebie moje jazdy już się skończyły, ale, że twoja żona chora, bierz cię djabli, pojadę. Pomóż mi wyszykować wóz i konia.

W drodze do miasteczka Icek jął zagadywać Jacka.

— Pan Jacenty nie wi, co sze z Wojtkem stało?

Jacek zajrzał żydowi przenikliwie w oczy i odrzekł:

— Przecie to był twój przyjaciel...

— I pan Jacenty też był mój przyjaciel — wykręcił żyd politycznie.

— A no tak — potwierdził Jacek — tylko, że ty z wielkiej przyjaźni uczyłeś mnie kraść, a ja za to cięgi od nieboszki matki odbierałem...

— Ja nikogo nie uczyłem kradzenie. Pan Jacenty miał towar, ja za niego płaciułem...

— Powiedz prawdę — odezwał się Jacek po dłuższem milczeniu. — Ileś ty Wojtkowi dał za podpalenie stodół dworskich?

http://rcin.org.pl

— Wa mir! — wrzasnął Icek — co pan Jacenty gada?

— We wsi o tem gadają i mnie słuchy takie doszły...

— Kto to może gadać? Ja go do sądu zaskarżę!

Drażliwa rozmowa urwała się szczęśliwie dla Icka, gdyż stanęli u celu podróży.

— Niech pan Jacenty poczeka trochę na rynku, ja tu zaraz przyjdę z doktorem.

— Mogę podjechać, będzie prędzej...

— Napsiód go poszukam, bo pewnie gdzie poszedł do chorego.

Stary Grafman, spostrzegłszy wzburzonego zięcia przed sobą, krzyknął wystraszony.

— Co tobie jest? Na co ty mi chorobę przynosisz do domu?

— Ja zdrów jestem — upewnił go Icek.

— A coś ty taki blady?

— Wątroba mnie rozbolała...

— Wątroba?

— Aj waj, co ja mam za interes, co za zdarzenie... — westchnął Icek i siadłszy naprzeciw teścia, wyłuszczył mu powody swego przybycia.

Stary słuchał uważnie, gładził brodę, coś pocichu rachował i nagle oświadczył:

— Icek! ty jeszcze bardzo głupi jesteś.

Zięć się zdziwił.

— Ty niepotrzebnie zrobiłeś drogę do mnie,

http://rcin.org.pl

marnując czas i zdrowie z tym wstrętnym dla mnie chłopem, Jackiem.

— Ja go też nie lubię.

— To po co bierzesz od niego furmankę i rozgadujesz się z nim niepotrzebnie? Zobaczysz, że on ci kiedy, tfy! nieszczęście sprowadzi. Wracaj do domu i bierz pacht zaraz. Ten pacht to przyszłe twoje bogactwo!

Icek, zasłuchany i rozpromieniony, patrzył w teścia jak w tęczę, a Grafman rzekł jeszcze:

— Jak ja się w tych stronach osiedlałem — bułem biedniejszy od ciebie. Dziś mam kamienicę i dużo pieniędzy u ludzi. Słabowolski też mi winien ładne pieniądze, ty go pilnuj, ja ci go oddam z jego resztkami. On powinien teraz być twoim człowiekiem, już ja z rabinem to przeprowadzę, żeby on ci Słabowolskiego całkiem podarował. Z chłopami daj spokój, twardy naród. Z obywatelem, choć cię czasem zwymyśla, a nawet potrąci — możesz spokojnie handlować. Obywatel ma duży ekspens, potrzebuje się zabawić, w karty pograć i na ciepłe kąpiele jechać za granicę. A chłop co? Cała jego podróż to na jarmark do miasta albo na odpust do Częstochowy. Dawniej chłop był chociaż głupi, a dziś? Do szkoły się zapisuje, gazety czyta, sklepy otwiera i coraz mniejszy zarobek żydom daje. Ja nawet zrobiłem obserwację, że oni teraz mniej wódki piją! Słyszane to rzeczy? Wierz mi Icek, że ciężkie czasy dla nas żydów nadchodzą... Obywateli

http://rcin.org.pl

mamy coraz mniej, a chłopi mądrzeją. Dawniej jeden obywatel stu żydów wyżywił — dziś nawet stu chłopów na jednego żyda nie wystarczy. Ty Icek pamiętaj, szanuj Słabowolskiego. On ci powinien długo służyć. Jak przyjdzie czas, że już nic z niego wycisnąć nie będzie można, to zrobimy z nim obaj koniec. Teraz jedź pacht wytarguj i handluj sobie szczęśliwie.

Głos teścia brzmiał tak uroczyście, że Icka słodkie dreszcze wstrząsnęły.

. . . . . .

W godzinę po tej rozmowie Icek z Jackiem wracali z powrotem.

— A gdzie doktór? — spytał Jacek od niechcenia.

— Doktór? — powtórzył Icek machinalnie.— Doktór powiedział, że to nic wielkiego... Zapisał proszki i wiozę je dla żony.

Zdawało się, że odpowiedź Icka wystarczyła Jackowi, bo cmoknął na konia i ruszyli z powrotem do domu.

W drodze Icek rozmyślał o przyszłem bogactwie swojem — Jacek się głowił, co Icek tak długo robił u teścia.

Wypatrzył go bowiem niechcący, jak wchodził do domu Grafmana.

— Ani chybi, szykuje jakieś nowe łajdactwo, lecz jakie? — dumał, udając, że drzemie.

. . . . . .

W oznaczonym terminie stawił się Icek we

http://rcin.org.pl

dworze cichy jak ryba, chytry jak wąż i, wytargowawszy co się dało, wziął pacht na lat pięć w dzierżawę.

— Zobaczycie — mówił następnie do rozpłakanych ze szczęścia żydówek. — Ogród mój, obora moja! Zobaczycie, co ja dalej zrobię! Ja mam jeszcze wielkie i szerokie plany!

VII.

Dwór w Słabej Woli, gdzie Icek Szacherman ogród i pacht trzymał w dzierżawie, stał na wyniosłym pagórku, otoczony parkiem. Dalej ciągnął się ogród, dotykający zabudowań folwarcznych i kończył się nad wartkim strumykiem, który przecinał wieś, zraszał łąki dworskie i ginął w lesie, by znów za lasem szerszem popłynąć korytem.

Słaba Wola była gniazdem szlacheckiego rodu Słabowolskich, których od wieków dostatnio żywiła.

Pan Paweł Słabowolski, mimo tradycji rodzinnej, z trudnością koniec z końcem związywał, odpierając liczne ciosy, jakie w majątek uderzały.

Po objęciu przez Icka ogrodu, a następnie po oddaniu mu pachtu w długoletnią dzierżawę, spostrzegł niebawem pan Słabowolski, że palnął głupstwo kapitalne, że niejako sam, własną ręką przekopał ochronną tamę i wpuścił do majątku żywioł bardzo niebezpieczny.

http://rcin.org.pl

To też zaczął obmyślać, w jaki sposób wydobyć się z matni, w którą go Icek pod światłym kierunkiem teścia Grafmana pochwycił i trzymał z pomocą wielu innych współwyznawców, napływających gromadnie ze wszystkich stron i opasujących dwór coraz ciaśniejszym kołem.

Fala żydowska uderzała już zaciekle o twardą dotąd opokę rodowego majątku Słabowolskich. Wznosiła się, rosła i groziła nie żartem.

Pan Słabowolski coraz częściej zamykał się w kancelarji swojej, pisał coś, obliczał, poczem wpatrywał się w martwe cyfry, odkładał pióro i wzdychał zniechęcony.

— Wszystko na nic! żeby nie serwituty, miałbym grunt pod nogami! — powtarzał.

Ale mu ten grunt psuli żydzi z Ickiem na czele.

Było to jakoś w czasie sprzętów siana. Słabowolski w gorszym, niż zwykle, humorze wrócił do dworu i zaczął przemierzać krokami kancelarję. Nagle przystanął i zadzwonił.

We drzwiach ukazała się pokojówka.

— Każ Wawrzyńcowi zaprzęgać...

— Słucham...

— Każ mu zaprządz do bryczki...

— Kiedy deszcz pada...

— To zmoknę...

Elżbietka zniknęła za drzwiami, szepnęła coś do pani i wybiegła na podwórze.

Po chwili weszła do kancelarji pani Pawłowa.

http://rcin.org.pl

— Jedziesz? gdzie? zdziwiła się.

— A bo co?

— Deszcz leje...

— A leje! leje! — powtórzył niecierpliwie pan Paweł.

— Szkoda zdrowia — zauważyła pani.

— Daj mi spokój, bo zły jestem jak wszyscy djabli!

— Grzeczny dziś jesteś...

— Trudno o grzeczność, kiedy się ma nóż na gardle! W dodatku słota jakby ją kto obstalował!

Pani Pawłowa westchęła żałośnie i łzy otarła.

— Czego się mażesz?

— Mówiłeś, że masz nóż na gardle...

— To też jadę do Prawdzica po ratunek i radę...

— Kamień mi z serca spadł. Prawdzic człowiek dobry i uczciwy, bylebyś go tylko zastał w domu...

— Na taki deszcz będzie... On się i przy pogodzie włóczyć nie lubi.

Dalszą rozmowę przerwał turkot bryczki.

Na wsiadanem zaszedł panu Pawłowi drogę karbowy.

— Ludzie zeszli z łąki, wielmożny panie — oznajmił.

— To ich weź do stodoły, niech powrósła kręcą, lub sieczki narzną.

— Żeby ino ten deszcz ustał — westchnął

http://rcin.org.pl

karbowy — bo to dziś akurat siedmiu braci śpiących...

— A wasan ósmy głupi! — wrzasnął z pasją pan Paweł i ruszył w drogę.

— Gdzie mam jechać, wielmożny panie? — spytał poufale stangret, gdy wyjechali do bramy.

— Prosto przed siebie...

Wawrzyniec, choć konie dobrze szły, zaczął im wygrażać batem, z miną świadczącą o wewnętrznej irytacji.

— Skręć na lewo — rozkazał dziedzic, gdy wieś minęli — jedziemy do pana Prawdzica.

Czas jakiś jechali w milczeniu.

Wawrzyniec, który był przyzwyczajony w drodze do rozmowy z dziedzicem, kręcił się niespokojnie na koźle i mruczał wciąż na konie.

Zauważył to pan Paweł i rzekł:

— Dajże im spokój, przecież idą równo...

— Oj, idą! idą! — westchnął żałośnie stangret. — Jutro, skoro świt, też iść mają...

— Gdzie? — zdziwił się pan Paweł.

— Icek przykazywał, żeby mu jutro konie na targ wyrychtować! — odpowiedział tonem skargi Wawrzyniec.

— Przy-ka-zy-wał? — wycedził zdumiony dziedzic.

— A ino?

— Co on ma do rozkazywania?

— Zawdy tak rządzi... Powiada, że ma z wielmożnym panem na to umowę.

http://rcin.org.pl

— Szelma! — splunął pan Paweł.

— A karbowy to mu, wielmożny panie cięgiem świarcy a świarcy. Znają się oba jak łyse konie. Człek sam nie wie co to za moda teraz nastała i kogo słuchać.

Dziedzic mocno spochmurniał. Stangret zerknął bokiem na pana i uśmiech filuterny przemknął mu po twarzy.

Po chwili jął się chłopskiej polityki.

— Ale Jacek, wielmożny panie, żydom pietra napędził...

— Grzęda...

— A ino. Wczoraj zaprosił starszych gospodarzy i do północka coś tam radzili. Ma podobno zapaść w gminie uchwała, żeby żydów wszystkich ze wsi wygonić.

Od Ickowego wesela sprowadziło się tego tałałajstwa coś z pięć rodzin...

— A niechże Jackowi, da Pan Bóg zdrowie! — zawołał szczerze pan Paweł.

— Chłopi szykują się też do wielmożnego pana — ciągnął stangret rad, że się dziedzic rozchmurzył.

— A do mnie po co? — zmieszał się pan Paweł, wspomniawszy na niefortunne wpuszczenie Icka do dworu.

— Chcą się z wielmożnym panem układać wedle służebności...

— A ty zkąd wiesz o tem — ożywił się.

— Od Jacka, on się nad tą sprawą głowi od dawna.

http://rcin.org.pl

— Tak? — rozweselił się dziedzic.

— Wieś już by nie była od tego, ino że chłopom żydy z Ickiem razem we łbach mącą i od wielmożnego pana ich odciągają — dokończył Wawrzyniec, zajeżdżając przed dwór, który nagle wychylił się z bujnej zieleni.

Pan Prawdzic powitał gościa bardzo serdecznie i wprowadził go do pokoju.

— Cóż za miła niespodzianka? Tak dawno sąsiada nie widziałem — zaczął gdy siedli.

— At! — machnął ręką pan Paweł — ciągłe tylko kłopoty! Ot i teraz naprzykład sprzedałem cały zbiór siana...

— Za gotówkę?

— W części za gotówkę, a resztę za procenty — westchnął pan Paweł. — Na pniu, że tak powiem sprzedałem... Sprzęt się dobrze rozpoczął, aż tu spadły deszcze, leją, gnoją mi wszystko, a...

— A żydzi wołają o siano, albo o zwrot pieniędzy z procentami — uzupełnił pan Prawdzic.

— Jakbyś sąsiad był przytem... Tak mnie te pijawki już zmęczyły, że doprawdy głowę tracę!... Z mienia mnie wyzują!

— A nie ostrzegałem sąsiada, żeby z żydami się nie wdawać? Kto z nas żydowi mały palec poda, może całą rękę stracić...

— Prawda, przyznaję, mówiłeś sąsiedzie, aleśmy cię mieli wszyscy w okolicy za skrajnego

http://rcin.org.pl

antysemitę... Ja sam śmiałem się z twego żydożerstwa, sąsiedzie. Przekonałem się jednak prędko na własnej skórze, żeś sąsiad dobrze radził... Doprawdy, że ci zazdroszczę, iż nie masz ani jednego żyda we wsi.

— I niech mi sąsiad wierzy, że doskonale na tem wieś i ja wychodzimy: sklep spożywczy założyli sobie chłopi sami, ogród puszczam co rok naszemu szewcowi z miasteczka, który ma przytem fachowy zarobek na wsi, a pacht prowadzę sam, odstawiając codzień wszystek udój do spółkowej mleczarni. No, ale co tam jątrzyć ranę sąsiada. Jak tam sąsiad z rzepakiem? dobrze sypie?

— Wymarzł, wygnił, ledwie trochę ściółki pod inwentarz zebrałem.

— A cóż słychać z ratą Towarzystwa?

— Grudniowej jeszcze nie zapłaciłem...

— Jak się żniwa zapowiadają?

— Nie tęgo...

I tak dalej pan Prawdzic pytał, a pan Paweł mu odpowiadał, aż wreszcie obaj umilkli.

— Zgubiony jestem — jęknął pan Paweł po chwili.

— Źle jest, nie przeczę — odezwał się pan Prawdzic — ale chyba do zguby jeszcze daleko. Chcesz sąsiad zupełnie ze mną być otwartym? Rozpatrzmy wspólnie stan hypoteczny Słabej Woli... Może wybrniemy z tego labiryntu niepewności.

http://rcin.org.pl

Zaczęli obliczać.

Pan Słabowolski dyktował, pan Prawdzić notował, wkońcu rzekł:

— Jak Boga kocham, żebym sąsiada nie znał, tobym myślał, żeś sąsiad pieniądze oknami i drzwiami wyrzucał.

— Bóg mi świadkiem, że żyłem gorzej, niż moi przodkowie żyli, a którym jednak Słaba Wola wystarczała.

— Aleś sąsiad nie rachował, a właśnie brak rachunku nas gubi... Naprzykład taki lokaj, kucharz...

— Już ich od roku zastąpiłem służbą żeńską.

— Administrator, rządca, pisarz, ekonomi.

— Mam już tylko karbowego i z nim gospodarstwo sam prowadzę.

— Cugi, karety, wierzchowce...

— Skasowane...

— Bale, pikniki, karnawały w Warszawie... Wyjazdy za granicę...

— I to zreformowałem — westchnął p. Paweł.

— Tak — bąknął Prawdzic. — Reformy przyszły zbyt późno...

— Więc co sąsiad radzi?

— Sprzedać Słabą Wolę, spłacić wierzytelności i zresztą osiąść w mieście... Przy stosunkach można znaleźć jaki taki urzędzik.

— Sprzedać! Ja mam sprzedać rodzinne gniazdo moje — westchnął boleśnie Słabowolski.

Prawdzic spojrzał na niego głębiej.

http://rcin.org.pl

Cisza zapanowała uroczysta.

Pan Paweł ocierał ukradkiem łzy gorące.

Prawdzic udając, że tego nie widzi, zasiadł raz jeszcze do rachunków, notował coś, mazał, obliczał, wreszcie rzekł:

— Żeby się chłopi chcieli ułożyć...

— Chcą! chcą! sąsiedzie — zerwał się pan Paweł.

— Jeżeli tylko chcą rzeczywiście, to mógłbym sąsiadowi spróbować ocalić Słabą Wolę...

— Sąsiedzie! Zbawco!

— Powoli... powoli... nie znasz sąsiad moich warunków...

— Wszystkie z góry przyjmuję!

— Musimy spisać formalną umowę. Chcę mieć zupełną swobodę... Ja będę Słabą Wolą administrował, a sąsiad będziesz siał i orał pod moim kierunkiem. Sądzę, że przy ratowaniu rodzinnego gniazda nie odmówisz mi sąsiad swojej pomocy. Interesy wszystkie ja wezmę w swoje ręce...

— Dobrodzieju mój! Czemże ci się wywdzięczę?

— Absolutną zgodą i milczeniem.

Słabowolski zaklął się uroczyście i padł w objęcia Prawdzica.

— Dajże sąsiad spokój! — bronił się Prawdzic — toć musimy sobie przecież pomagać i radzić wzajemnie, inaczej nas zupełnie żydzi zjedzą, albo djabli wezmą, co na jedno wynosi.

. . . . . .

http://rcin.org.pl

Jednocześnie z wizytą pana Pawła Słabowolskiego u Prawdzica, Icek gościł teścia u siebie.

Stary Grafman, skorzystał z nieobecności dziedzica i mimo deszczu obszedł z Ickiem całe podwórze.

Zajrzeli do obór, stajen, pustych stodół, poczem Grafman rzekł do zięcia.

— To już by mogło wszystko być nasze, ale lepiej jeszcze trochę poczekać. Ten deszcz do reszty go zmarnuje, to złoto nie deszcz, żeby on tylko chciał popadać przez całe żniwa... Oglądałem wczoraj hypotekę Słabej Woli...

— Nyy? — ożywił się Icek.

— Nasz Słabowolski to już całkiem bankrut.. Jego nic nie uratuje, chyba główny los — zakpił Grafman.

— Na loterji żydowskiej — dodał Icek i roześmiał się cynicznie.

Grafman mu zawtórował.

. . . . . .

W jakże odmiennym humorze wracał pan Paweł do domu.

Co prawda i niebo się rozchmurzyło i słońce weselej dzień żegnać zaczęło.

Wawrzyniec czuł, jak to mówią przez skórę, że dziedzic weselszy, to też raźniej powoził.

— Słuchaj-no — przemówił nagle p. Paweł — Ickowi jutro koni nie dawaj... On niema kontraktu ze mną na furmanki, niech je sobie na wsi wynajmuje.

http://rcin.org.pl

Wawrzyniec, aż przystanął na chwilę, zdjął czapkę i pocałował dziedzica w rękę.

— Takiś kontent z tego? — zaśmiał się pan Paweł.

— Okrutniem rad, bo mi haniebnie było wozić żyda dworskiemi końmi. Człek przecie zwyczajny mieć zawsze panów za sobą, nie takich tam parchów niechrzczonych.

. . . . . .

Wawrzyniec, wysadziwszy pana Pawła przed dworem w Słabej Woli, zawrócił w podwórze i, pogwizdując wesoło, zaczął wyprzęgać konie.

Zbliżył się do niego Icek i nie wyjmując fajki z ust zapytał.

— Gdzieśta wy jeździli?

Wawrzyniec nie przestawał gwizdać, udając, że Icka nie widzi i nie słyszy.

— Wawrzyniec głuchy jest? — ponowił żyd.

— Wynoś mi się parchu z przed stajni, bo jak cię lune, to sam ogłuchniesz!

Ickowi fajka z gęby wypadła.

— Hörste! — zawołał — Wawrzyniec się wściekniuł? Co to jest? Kogo Wawrzyniec chce lunąć?

— Ciebie! — krzyknął stangret, upatrując kamienia.

Icek schylił się przerażony za brykę.

— Ja w te chwyle — zawołał — idę do dziedzica, żeby Wawrzyńca na łeb ze służby wirzucił!...

http://rcin.org.pl

— Idź! leć ino prędko, póki psów nie pospuszczam z łańcuchów... Dawno się chudziaki na ciebie szykują!...

Icek widząc, że Wawrzyniec istotnie zmierza do budy z psami, podkasał chałat i pędem rzucił się do ucieczki.

W bramie podwórza wpadł nagle w ręce dwóch strażników ziemskich.

— Ty gdzie?

— Psy!.. sobaki!.. bardzo złe!.. Wa mir! puśćcie mnie panowie! — wołał zadyszany.

— Nie panie Icek, my właśnie ciebie szukali — chodź z nami...

— Gdzie? po co? — darł się Icek. — Ja nimam wcale ochoty iść z panami!

Strażnicy nie robili sobie z opozycją żyda długich ceremonji, nałożyli mu kajdanki i uprowadzili z podwórza.

Spoglądał na tą scenę Wawrzyniec i oczy przecierał, myśląc, że mu się we łbie troi.

. . . . . .

Piorunem obleciała wieść po wsi, że Icka strażnicy wzięli.

— Pan Bóg nie rychliwy, ale sprawiedliwy — mówiono.

Lecz wielu zachodziło w głowę, co Icek zmalował nowego?

Dwór również był zaciekawiony. Wawrzyniec, naoczny świadek aresztowania Icka, puścił wodze fantazji i rozpowiadał takie dziwa, że naza-

http://rcin.org.pl

jutrz pan Słabowolski, kazał założyć konie i ruszył do powiatu na zwiady.

Po powrocie do domu wezwał do siebie Jacka Grzędę i zapytał:

— Jak to było z tym ogniem? Czytałem protokół, ale radbym od ciebie, raz jeszcze wszystko usłyszeć.

To rzekłszy pan Słabowolski, poprosił do kancelarji żonę, zatrzymał kręcącą się niespokojnie Elżbietę i kazał Wawrzyńcowi pilnować drzwi, żeby kto przedwcześnie rozmowy poufnej nie podsłuchał.

Pani Słabowolska była zdumiona przedmową męża.

— Oto mój przyjaciel — rzekł, obejmując i całując Jacka w głowę.

Jacek chciał dziedzica objąć za nogi.

— Daj spokój, siadaj, i mów, co Icek zrobił.

Jacek nie usiadł, gdyż wolał stać obok Elżbiety, którą ognie przechodziły.

— Ano — zaczął — nie ma co dłużej ukrywać, to tak proszę wielmożnych państwa było: pamiętnej nocy, zagadałem się z jedną dziewczyną pod dworskim ogrodem, aż tu naraz światłość nas wielka objęła. Patrzę, stodoły w ogniu, a od stodół ktoś rwie w naszą stronę, co mu nóg starczy. Niechybnie podpalił i zmyka, przemknęło mi w głowie, a że miałem gruby kij w ręku, zastąpiłem onemu drogę i zwaliłem kijem w łeb z całej mocy. Ów ani zipnął, prze-

http://rcin.org.pl

wrócił się i leży! Źle, myślę sobie, zabiłem człowieka. Patrzę, kto to taki, aż tu słyszę słaby głos Wojtka Podwały:

— Jacuś, ukryj mnie, nie gub grzesznej duszy mojej.

Powiedział to i zemdlał.

Niewiele myśląc, chwyciłem nieszczęśnika za bary i jak kłodę drzewa przeniosłem chyłkiem do mojej chaty. Oj, chorował po tym kiju, długo chorował i do pamięci przyjść nie mógł. Zwoziłem do niego kilka razy doktora, ale ten Wojtkowi długiego życia nie obiecywał.

Ano, wola boska, myślę sobie, póki żyje, niech siedzi u mnie w komorze. Razu jednego Wojtek się podniósł, wylazł z komory i przysiadł koło komina i mówi, jakby płakał:

— Jacuś, sproś tu księdza proboszcza i starszych gospodarzy ze wsi do mnie...

— Na co ci to?

— Muszę im się przed śmiercią wyspowiadać ze wszystkiego...

— W gorączce pewnie gada — pomyślałem, więc mówię: — Połóż się i śpij, co masz umierać. Wydobrzejesz całkiem, to sobie pójdziesz gdzie chcesz... Ja ci bronić nie będę... Jedź, choćby do Ameryki, a popraw się i żydom nie służ, duszy swej nie gub złodziejstwami.

— Sproś Jacusiu księdza i gospodarzy — zaczął lamentować znowu i co dzień swoje powtarzać, więc stało się według jego żądania.

http://rcin.org.pl

Kilka dni temu zeszła się do mnie starszyzna wiejska. Gadamy o tem, to o owem. Mnie niejako o Wojtku zacząć, aż tu on sam, niby jaka mara, z komory wychodzi.

— Rany Boskie! — krzyknęli prawie wszyscy — to chyba Wojtek z tamtego świata przyszedł do nas...

— Jeszcze po tym świecie chodzę, bo umrzeć nie mogę, póki mi win i grzechów nie odpuścicie — powiada Wojtek i do nóg im się słania.

Tu Jacek jął tak mówić dalej:

— Lis jest szkodnik zawołany, ale to jeszcze baranek wielkanocny w porównaniu z Ickiem, co ten za prześpiegi i wykręty złodziejskie miał na wszystko. Kilka krów, co we wsi niewiadomo z czego zachorowało, że je rznąć musieli, zatruł Podwała kartoflami, które mu Icek przyrządzał, żeby potem krówska chore za bezcen skupować. Jadwigę Lipczankę, co znikła gdzieś bez wieści — Wojtek wyprowadził ze wsi, niby na służbę do miasta, a Icek ją gdzieś zaszachrował.

Dworskie stodoły spalone też były z Icka namowy i przekupstwa.

— Cóż ja mu zawiniłem? — przerwał dziedzic wzburzony.

— Ano, jak Wojtek mówił, Icek wiedział od żydów, że wielmożny pan jest w ciężkich warunkach i nieasekurowany, więc chciał z tego wyciągnąć dla siebie korzyści. Jakoż dopiął celu,

http://rcin.org.pl

bo mu wielmożny pan wypuścił pacht w dzierżawę zaraz po tym ogniu.

— Prawda, święta prawda — przyznał dziedzic, nie wspominając jednak o tem, ile od Icka pożyczył pieniędzy w gotowiźnie.

— Póty dzban wodę nosił, aż się ucho urwało — kończył Jacek. — Gospodarze, wysłuchawszy spowiedzi Wojtka, spytali go:

— Cóż ty nieszczęsny człeku chcesz od nas?

— Sądźcie i ukarzcie mnie...

— Sąd i kara w ręku Boga — rzekł któryś — my ci tylko radę dać możemy...

— Dajcie, posłucham — załkał Wojtek.

— Idź do spowiedzi, ofiaruj się Panu Bogu, a potem złóż w sądzie zeznania pod przysięgą... Ickowi przecież zmarnowanego życia swego nie możesz darować...

— Nie daruję — zaklął się Wojtek.

I zrobił wszystko jak mu starsi radzili.

Sąd nakazał Wojtka wziąć do szpitala, bo ledwo zipał jak przysięgę składał.

O Icku wielmożni państwo już wiedzą.

— Ale o tobie, Jacku nic nie wiadomo, odezwał się nagle Wawrzyniec, mrużąc filuternie oko.

— Niby względem czego? — zmieszał się Jacek.

— Z jaką to ty dziewczyną stałeś wtenczas pod dworskim ogrodem?

Pan Paweł z panią Pawłową spojrzeli zdziwieni na stangreta, który mimo rozpaczliwych znaków pokojówki spokojnie prawił dalej:

http://rcin.org.pl

— Bo to proszę wielmożnych państwa, po co prawdę kryć — Jacuś z p. Elżbietką dawno się miłują. Oboje sieroty, niechże ja im swatem będę...

— I ja — dodał uroczyście p. Słabowolski.

— Poczciwego męża mieć będziesz Elżbietko — rozrzewniła się pani, błogosławiąc klękającą do jej nóg parę młodą.

. . . . . .

Wojtek Podwała umarł w szpitalu, ku radości Icka, który o mało się nie wykręcił z całej sprawy. Dobił go proces o lichwę i różne inne oszustwa, jakie wykrył pan Prawdzic, wtajemniczywszy się w bieg spraw Słabej Woli.

Stary Grafman zadrżał o swoją skórę, inni żydzi poczuli też niepewny grunt pod nogami i okazali wielką skłonność do ustępstw w interesach z panem Pawłem, który dzięki energicznej opiece Prawdzica lżej odetchnął, zwłaszcza, że i gospodarze ze wsi, pod wpływem namowy Jacka przystąpili do układów o służebności.

Mordka Szpas, dowiedziawszy się o wypadkach Icka, uznał, że nadeszła chwila obrachunku, za niewypłacone mu ze swatostwa procenty. Udał się też zaraz do Słabej Woli z propozycją wydzierżawienia ogrodu.

Jakże się przeraził, gdy mu Wawrzyniec drogę zastąpił i ostrzegł szczerze:

— Umykaj, chorobo, pókiś cały, bo dziedzic każe psy wszystkie pospuszczać na ciebie...

http://rcin.org.pl

— Na mnie? Za co na mnie?

— Boś żyd nieochrzczony, a dla takich u nas chleba tu nima!

. . . . . .

Icek zasiadł w cichej celi i trawił czas na rozmyślaniu o zmiennem szczęściu swojem.

Może się smucił, że „rodżynna“ miłość jaką Jackowi od dzieciństwa okazywał, na zły grunt trafiła i nie wzbudziła w sercu chłopa żadnej wzajemności, a może się pocieszał, że po skończonej pokucie w więzieniu, wypłynie z większem doświadczeniem na arenę życiową, jak wypłynęło wielu podobnych jemu myślicieli z za kraty.

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

WIOSNA.

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

I.

Wczesnym rankiem przyleciał do wsi bocian, siadł na gnieździe, otrząsnął z pyłu skrzydła, przeciągnął się, wygiął szyję i zaklekotał. Przeszedł się raz i drugi po starej siedzibie i stanął, jakby zdziwiony, że nikt go nie wita.

Zaklekotał znowu, — i znowu cisza.

Pierwszy raz zdarzyło się to od niepamiętnych lat.

Zwykle, gdy ziemię zaskrzepłą słonko ze snu zimowego budzić zaczęło, gdy on powracał z za morza i klekotaniem witał swoje gniazdo, otwierało się okno w kancelarji dziedzica, ukazywała się siwa głowa pana Macieja i rozlegał się tubalny głos, dźwięczący niekłamaną radością:

— Wojtek! jak się masz?

W ślad zatem przybiegały żona, dzieci, zjawiał się i stary ekonom, dzielił radość państwa i zażywając tabaczkę, roztrząsał z dziedzicem kwestję orki i siewów wiosennych.

Dziś grobowa cisza panowała we dworze.

Bocian chodził po gnieździe jakiś osowiały, markotny.

http://rcin.org.pl

Tyle lądów i mórz przeleciał stęskniony, tak go coś do tej cichej wioski ciągnęło, taką radością opadł na gniazdo i czekał zwykłego pozdrowienia, a tu nic!

Cisza, jakby ludzie wymarli!

Zatrzepotał skrzydłami, uniósł się w górę i począł krążyć nad wioską.

W tem posłyszał głos z ziemi:

— Wojtuś! Wojtuś!

Machnął żwawiej skrzydłami, przekręcił łebek i spostrzegł drobne pacholę, co biegło drogą przez wieś, klaskało w rączki i tak radośnie witało bociana.

— Wojtuś! Wojtuś! — zabrzmiało znów kilka głosów.

To Kasie, Jagny i Maciusie złączyli się w jeden chór powitalny.

— Kajże on jest? — pytali gospodarze starsi, zatrzymując pługi w polu i spoglądając w górę.

— Adyć nad lasem! — pokazywały dzieci.

Wieśniacy śmigając batami, orali dalej, pokrzykując wesoło na woły:

— Ocib granos! ksob łysy!

— Musi nasz bocion, bo nad wsią kołuje — rozprawiały dzieci.

— Może siądzie na sołtysowej topoli — gwarzyli starsi.

Tymczasem bocian po raz drugi upadł na gniazdo koło dworu i stanął na jednej nodze z miną skończonego filozofa.

http://rcin.org.pl

Zapewne chciał się doczekać jakiegoś znaku w siedzibie pana Macieja.

Jakoż niedługo zrobił się ruch i gwar we dworze: otworzyło się okno i wychyliła się z niego ruda głowa.

— Moryc, Ruchle, Salcie! — rozległo się wołanie.

— Wus ist? Co jest? — zaszwargotało kilka głosów.

— Patrzcie, bocian przyleciał!

— Ny, to co wielkiego? — wzruszyła ramionami pani Ruchla.

— To mało jest? — zdziwił się pan Łapsgeld, świeży właściciel starodawnej siedziby pana Macieja. — Ja widzę — prawił dalej, że wy nie rozumiecie wcale tego faktu. Ten bocian tu, do nas przyleciał, pokłonić się mnie, nowemu dziedzicowi.

— Chamy ze wsi powściekają się ze złości — zauważyła z dumą dziedziczka.

— Niech popękają gałgany! Będą wiedzieli, że nawet dziki ptak ma większy rozum od nich i wie kogo należy we wsi uszanować.

— Czy on śpiewa? — spytała córeczka, Salcia.

— I jak jeszcze — upewnił ją Łapsgeld. — Poczekaj małą chwilę, on nam tu zaraz koncert urządzi, całą operę zrobi.

— Ja się boję, żeby on tylko nie uciekł...

— Co ma uciec? Zresztą, każę mojemu rządcy, żeby go pilnował.

http://rcin.org.pl

— Możeby go lepiej odrazu złapać w nocy — wtrąciła mama.

— I wypchać, to się postawi w papy gabinecie — zadecydowała z powagą córeczka.

— Siostro — odezwał się Moryc. — Jak możesz takie projekty podsuwać? Przecież bocian, to symbol wiosny, ptak przez lud wiejski ukochany...

— A ty jesteś zwarjowany poeta — odcięła się Salcia.

Familijnej narady wysłuchał pod oknem przyczajony wyrostek wiejski, Antek, który aż tu za bocianem przybiegł. Zatrząsł się z oburzenia, słysząc projekt panny Salci i krzyknął:

— Zasie wom, żydy, od naszego Wojtka!

— Co to jest? kto to gada? — wystraszyła się cała rodzina.

— Jakiś gałgan tu lata po ogrodzie! — zawołał pan Łapsgeld, spostrzegłszy chłopaka.

— Papo! papo! on wiłazi na drzewo — krzyczała Salcia.

— Poszedł ty, łajdak! Czego ty tu chcesz? — darł się pan Łapsgeld.

Antek tymczasem ze zwinnością kota, dotarł do bocińca, spłoszył oszołomionego „Wojtka" i zrzucił gniazdo na ziemię.

— Co ty robisz, złodzieju? Won! precz! z jasznie pana ogrodu!

— Puńdę — śmiał się Antek — ale i bociana wam zabiorę!

http://rcin.org.pl

— Ludzie! szwiadki! chłopy! Gońcie, łapcie tego bandytę! — ryczał Łapsgeld, biegając od okna do okna.

— He! he! — drwił z żydów Antek. — Już po waszym bocianie! Zmarnowaliście naszego dziedzica, to i „Wojtka“ zgubić chcieliśta? A juści! Niedoczekanie wase!

I ulżywszy całkiem sercu swemu, wyłamał kołek z brony, cisnął nim w otwarte okna dworu, krzycząc na pożegnanie:

— Mata! wypchajta go sobie i postawta w papy gabinecie!

. . . . . .

— Pan Łapsgeld pienił się z oburzenia. Chodził po pokoju i rozważał coś w myśli. Nagle rzekł:

— Moryc, zawołaj mi tu Kasi.

— Jestem — wpadła do pokoju dziewczyna.

— Widziałaś co sze stało?

— Ja? Mnie tu wcale nie było...

— Bociana nam ukradli — oznajmiła pani.

— W ogrodzie był, na drzewie — dodał pan. — Jakiś chłopak ze wsi gniazdo zrzucił i bociana zabrał.

— Dał mu się schwytać? — dziwiła się Kasia.

— Sam frunął — wtrąciła córeczka.

— To go nie ukradł, jeżeli sam poleciał...

— Znasz ty tego chłopaka? — spytał Łapsgeld.

http://rcin.org.pl

— Na oczy go nie widziałam, ale może Filip widział...

— Zawołaj Fiłypa.

Kasia furknęła jak ptak z pokoju i pobiegła w podwórze.

— Filip! Filip! — zawołała, oczekując chwilę. — Pewno zasnął przy krowach — roześmiała się i zajrzała ciekawie do obory.

— Mam cię! — usłyszała nagle i poczuła się w objęciach Filipa.

— Rany Boskie, jakem się przestraszyła! — krzyknęła, broniąc się od pocałunków młodego parobka — Filipku — prosiła — puść mnie, ady mnie puść... Co ty robisz... jeszcze kto zobaczy.

— Kochosz mnie? — szepnął Filip.

— Kochom, ino mnie puść, ty zaciekły chłopie i chodź do dworu... Dziedzic cię woła...

— Czego chce parszywiec?

— Bociana mu ukradli, czy coś — śmiała się Kasia. — Możeś widział, który to chłopak ze wsi popsuł bociniec?

— Widziołem, ale nie powiem...

— Nie mów, nie mów — przytakiwała mu Kasia. — Puść mnie — zawołała nagle. — Ktoś tu idzie...

— To pewnie Moryc, on nas wciąż śledzi i podpatruje. Jak cień łazi za tobą. Ja temu żydziakowi kości poprzetrącam.

— Co tam będziesz zważał na niego, niech sobie łazi...

http://rcin.org.pl

— Kasiu! Jest tu Kasia? — wpadło wołanie do obory.

— Jestem...

— Gdzie Filip? Papa na niego czeka we dworze...

— Filip nic nie widział...

— Nic a nic — potwierdził parobek, wychodząc z obory.

— Niech Filip idzie i powie to sam panu dziedzicowi.

— Chodźmy Kasiu.

Moryc, któremu uśmiechała się już myśl pozostania z Kasią sam na sam w oborze, poszedł zły za niemi.

. . . . . .

Bocian krążył nadewsią do wieczora: opadał na łąki, to zrywał się znowu i szybował w górze, jakby rozważał poranną przygodę. Musiał zrozumieć intencje chłopaka, bo o zmierzchu siadł na gnieździe, które dlań sołtys przygotował na topoli.

— Wojtuś! Wojtuś! — powitała go gromada dzieci, otaczając wieńcem nowy bociniec.

Starsi wieśniacy stanęli opodal i podziwiali ptaka.

A dzieciaki ująwszy się za ręce, jęły tańczyć wokoło bocińca i śpiewać:

Prosili nas na wesele
Zabili nam boćka
Druchenecki zjadły ogon
A drużbowie ocka.

http://rcin.org.pl

— Głupiesta — zgromił ich sołtys. — Bociona grzych zabijać! Uciszyta wy się?! — podniósł głos. — Chceta, żeby stąd uciekł?

— Dzieci, nie róbta krzyku! — prosiła sołtyska, dumna ze swego Antka i z odniesionego nad dworem zwycięstwa. — Cichojta! — powtórzyła — nie płoszta „Wojtusia", bo zdrożony...

— Ho! ho! siła światu do nos tu musioł lecieć — przemówił któryś.

— A jakie to mądre stworzenie — zabrał głos jeden z najstarszych gospodarzy. — Powiadał mi mój dziaduś, że znał takiego chłopa, któremu bocian całą zagrodę spalił, za to, że mu gniazdo zrzucił ze stodoły, a pisklęta zabił i zjadł...

— Jakże przez ognia mógł spalić?

— Przyniósł w dziobie głownię z pola, gdzie dzieciaki ognisko zrobiły, położył oną głownię na stodołę i do cna wszystko się zbuzowało...

— U nas mu tu nikt krzywdy nie zrobi — zawołała sołtyska.

— Niechno się w gnieździe obsiedzi to i samkę sprowadzi — dodał sołtys.

— Pewnie że sprowadzi...

— I będzie siedział, bo wi za kim trzymać.

— Bo nie? Przecie na ten przykład choćby i dziedziców pies, co go ostawili we dworze... Uciekł i do kowalów przystał.

— Niechciał żydom służyć!

W czasie tych rozmów bocian wyprostował się na gnieździe, rozchylił dziób jakby do uśmie-

http://rcin.org.pl

chu i począł klekotać, co wywołało szmer zadowolenia.

— Widzita, jak mu to nieborakowi między nami plaży — odezwały się uradowane głosy.

A bocian klekotał długo, długo, jakby chciał gromadzie całej za gościnę podziękować i powiedzieć:

— Zrozumiałem was, dobrzy ludzie.

II.

Wieś strojna zielenią i białym kwieciem dyszała wiosną, kąpiąc się w złotych promieniach słońca.

Roje pszczół brzęczały pracowicie, ptaszęta ćwierkały miłośnie, słowik rzewne wywodził trele. Tak rzewne, że nawet bocian, lustrując łąki, stanął, wyciągnął szyję i począł się przysłuchiwać.

Byłby zapewne przeciągłem klekotem uczcił szarego piewcę, gdy nagle spostrzegł olbrzymią żabę, skradającą się ku barwnej sasance, tonącej w objęciach białego motyla, skoczył zakochanej parze z pomocą, pochwycił żabsko i utopił gada w przepaścistej gardzieli.

Przyglądał się tej scenie pan Łapsgeld, kiwnął na parobka, pilnującego bydła i zawołał:

— Fiłyp, chodź no tu!

Filip podszedł i pytającym wzrokiem obrzucił dziedzica.

http://rcin.org.pl

— Wydziałeś — odezwał się pan Łapsgeld, wskazując palcem na spacerującego bociana.

— Niby cóż miołem widzieć?

— Ten rabuśnik zjada moje żaby...

Filip otworzył gębę szeroko i powtórzył zdziwiony:

— Zia...ziaby? Panowe ziaby?

— Ty się dżywujesz? A czyja to łąka jest?

— Dworska...

— A szano?

— Tyż dworskie...

— No, to i żaby moje, bo sze u mnie, w te szano wylęgują...

— Che! che! che! — ryknął śmiechem Filip — cudy — pomiany, pon dziedzic mówią!

— Co mówię, to mówię — oburzył się pan Łapsgeld — a ty weź bat i spędź mi zaraz tego gałgana. Nie chciał siedzieć u mnie w ogrodzie na drzewie, tylko u chłopa, to niech teraz po chłopskich łąkach łazi i chłopskie żaby zjada. Rozumiesz?

Spędź go! po co ten łajdak, buntownik ma gnieść moją trawę?

— Kajże go spędzę? Przefrunie i siądzie dalej.

— To idź do dworu i przynieś strzelbę.

— Bo pon dziedzić umiom strzylać?

— Ty go zabijesz!

— Bociona? Jo ta boćkowi krzywdy nijakiej nie zrobię, zresztą do tego się nie godziłem.

— Ja tobie każę!

http://rcin.org.pl

— Niech pon dziedzic panu Morycowi koże. Jo pomsty Bożej na siebie ściągoł nie będe...

— Co ty wigadujesz?

— Przecie to grzych!

— Grzech, jest wtedy, jak ty swego dżedżyca nie słuchasz.

— Już niech to będzie na mojem sumieniu...

— Ajaj, Fiłyp, ty jeszcze bardzo głupi jesteś, kiedy bronisz takiego rabuśnika...

— Juści, u pana dziedzica, to wszystko rabuśniki. Słowik też był rabuśnik, co go pisorz w ogrodzie z gniazda wyjął i łeb mu ukręcił?

— Na co mi słowik?

— Niechby se żył i śpiwoł, kiej go Pan Bóg takim śpiwaniem udarowoł...

— Ty, Fiłyp poetnik jesteś, całkiem głupi poetnik z te szpiwanie! U mnie słowik, to jak krowa zacznie rykać, albo koza beczyć. Ja bardzo takie słowiki lubię, bo one mięso i mliko dają, a te szare ptaszyska to tylko w uchu wiercą i spać przeszkodzą.

— Patrzno Fiłyp, co to za baba?

— Wsiowa...

— Co una w fartuchu niesie?

— Pewnikiem zioła...

— Niech będzie pochwalony! — odezwała się stara kobiecina przechodząc mimo.

— Toś mu trafiła — pomyślał sobie Filip, a głośno dodał — Matko, pan dziedzic pyto, co wy niesiecie?

http://rcin.org.pl

— Trochę leków uzbierałam od frybry...

— Kto ci pozwolił urwać moje szano? — powsiadł żyd na starowinę.

— Dyć to wielmożny panie, rosło na granicy.

— Na granicy? A gdzie masz plombę? — pokpiwał Łapsgeld, rozwiązując fartuch babiny.

— Niech mi wielmożny pan nie zabierają tych ziołów — prosiła wieśniaczka.

— Połóż szano i idź do djabła — krzyknął Łapsgeld. — Jak raz jeszcze tu u mnie co poruchasz, to cię wsadzę na kryminał! — pogroził.

Starowina, mrucząc coś pod nosem, wysypała zioła na łąkę i odeszła ze spuszczoną głową ku domowi.

Łapsgeld pogładził brodę i zwrócił się do Filipa.

— Jak się ta rabuśnica nazywa?

— Wiem to?

— Ty nie wiesz? — uśmiechnął się zjadliwie. — Pójdziesz za nią i powiesz, co by mi jutro przyszła to złodziejstwo odrobić w ogrodzie, bo będzie z nią źle...

— Uwożom — burknął Filip oburzony i śmignąwszy batem, puścił się za babiną.

— Fiłyp! Fiłyp!

— Słuchom.

— Potem idź do moich ludzi w lesie i zobacz, co te łajdaki tam tak cicho siedzą? Dla-

http://rcin.org.pl

czego oni drzew nie rąbią? Ja wcale stuku nie słyszę.

Filip ruszył za babą, pomówił z nią chwilę, ostrzegł, żeby żywiej zeszła z oczu Łapsgelda, poczem pociągnął w stronę lasu, gdzie pod razami ostrych siekier padały olbrzymie sosny i dęby rozłożyste.

— Niech ino Pan Bóg mi dopomoże z Kasią się ożenić, to zaraz pójdę szukać służby gdzie indziej — mruczał i klął na czem świat stoi.

— Fiłyp! Fiłyp! — posłyszał znowu wołanie za sobą.

— Drżyj się parchu, drżyj — szeptał, udając, że nie słyszy wołania.

Łapsgeld pogroził za nim pięścią i jął się półgłosem użalać:

— Och ta wieś, ta wieś. Niech tylko las skończę, zaraz folwark sprzedam. Jabym tu długo nie wytrzymał z temi gałganami.

Nagle umilkł i spojrzał bystro przed siebie. Coś go zastanowiło. Zasłonił się ręką od słońca i pilnie wypatrywał.

— Zdaje mi się, że widzę tu syna niedaleko. Czego on się tak skrada jak złodziej jaki? Moryc! Moryc! — krzyknął doniośle.

— Poco papa tak wrzeszczy? — usłyszał w odpowiedzi.

— Co ty tam robisz?

— Ja sobie trochę poluję...

— Ze strzelbą?

http://rcin.org.pl

— Mam z palcem polować?

— Ostrożnie moje dziecko, żeby wipadku nie było.

— Niech się papa nie lęka, ja zostawiłem ładunki w domu.

— To po co się ty tak skradasz?

Moryc przykucnął za krzakiem i, dając znaki ojcu, położył palec na ustach.

Łapsgeld zaciekawiony niezmiernie, też przykucnął i na czworakach podpełznął do syna.

— Co ty tu masz? — szepnął zdyszany.

— Papa nie widzi?

— Co? gdzie?

— Tam na dole, nad rzeką...

— Co jest? Jakaś dziewczyna stoi...

— To nasza Kasia...

— Prawda...

— A za nią?

— Za nią? Zdaje mi się, że za nią też ktoś stoi...

— Filip.

— Ten gałgan? Ja go przecież posłałem do lasu!

— To co wielkiego? On pewno już tam był, a teraz sobie trochę z dziewczyną grucha...

— Grucha? co to znaczy?

— Ajaj! — roześmiał się Moryc. — Papa nie wie co ten wyraz znaczy? Papa nie słyszał tej piosenki:

Na zielonym dębie
Gruchają gołębie...

http://rcin.org.pl

— Filip z Kasią też gruchać muszą, bo oni się kochają.

— Ja im tu zaraz gruchnę — rozgniewał się Łapsgeld, ściskając laskę.

Moryc wzruszył ramionami.

— Co papie to przeszkadza? Czy papa nie był młody?

— Moryc, co ty gadasz? Zkąd tobie takie myśli przychodzą do głowy?

— Przecie to teraz wiosna — przemówił z zapałem Moryc. — Patrz, papo jak słońce świeci, posłuchaj jak ptaszki śpiewają, powąchaj jak tu ładnie pachnie.

— Tu wcale nie pachnie — skrzywił się Łapsgeld, wycierając w trawie buty.

— Papa jest bardzo prozaiczny...

— A ty za wielki poetnik. Ty lepiej chodź ze mną do domu.

— Nie papo, ja mam czas, ja jeszcze chcę cieszyć się naturą...

— Co ty za romansownik jesteś? Tobie musi coś dolegać. Moryc, ja ci mówię wracaj do domu i poproś matki, niech ci da na przeczyszczenie, to ci dobrze zrobi! Ty chory jesteś! Ty masz gorączkę!

— Ja zupełnie zdrów jestem.

— Żebyś był zdrów, to byś się zajął jaką robotą, a nie łaził po polach i chłopów byś mi nie bałamucił.

— Ja bałamucę chłopów?

http://rcin.org.pl

— To ty gałganie myślisz, że ja nie wiem, kto naszej Kaśce dał korale?

Moryc uśmiechnął się nieszczerze.

— Co wielkiego? — rzekł — fałszywe.

— Zawsze to bałamuctwo jest!

— Ona się tak ucieszyła...

— Ale ja się zmartwiłem. Dziś dałeś jej korale, a jutro może jej fartuch podarujesz?

— Ona ma dosyć fartuchów.

— Już ci to powiedziała? No, no, to ty, widzę coraz lepszą znajomość z nią robisz. Słuchaj, przestań ty głupstwa robić, bo ja tę małpę precz wypędzę.

Moryc wzruszył ramionami.

— Co ona mnie obchodzi — rzekł z pozornym spokojem. — Po co robić skandal i wypędzać? Lepiej niech ją papa z Filipem ożeni.

Łapsgeld pogładził brodę, spojrzał przenikliwie na syna i rzekł z naciskiem:

— Ja tak zrobię.

Poczem dodał z dobroduszną miną.

— Idź mi zaraz do tych gałganów nad rzekę i zapowiedz, żeby Kaśka w tej chwili wracała do dworu, a Filip niech bydła pilnuje, bo go wypędzę ze służby.

— Dobrze, ja im to zaraz powiem.

I ruszył uradowany w stronę gruchającej pary.

Łapsgeld popatrzał za synem i jął mruczeć niezadowolony:

— Jak on się to ucieszył. Jak on leci? Ja

http://rcin.org.pl

nie pojmuję, skąd się wzięło takie dziecko u mnie?

Żeby nie jego rude włosy i ten długi garbaty nos, tobym myślał, że to wcale nie mój syn!

Ja go muszę prędko ożenić, bo on mi się całkiem zmarnuje. Akurat przyjaciel mój, Cynaderbaum, kilka razy mnie zapraszał do Warszawy z Morycem i przypominał, że ma dorosłą córkę na wydaniu.

Trzeba to przyspieszyć, bo ten romansownik gotów się jeszcze skompromitować.

— Ajaj! — syknął — po co ja go po Kaśkę posłałem!

— Moryc! Moryc! — zawołał, podążając za synem.

Filip z daleka już dojrzał, zbliżającego się Moryca. Zrozumiał, że go dziedzic wysłał, więc pożegnał Kasię, i skoczył w nadbrzeżne krzaki, w stronę krów, które się tam pasły.

Zadyszany Moryc przypadł do dziewczyny.

— Kasiu — szepnął czule — bardzo dobrze, że jesteś sama, chciałem z tobą pomówić. Filip dawno poszedł?

— O, już dawno — skłamała Kasia i zapytała figlarnie:

— O czem to panicz chce pomówić ze mną?

— Ty wiesz, Kasia, o czem. Ja ciebie kocham... Bardzo kocham...

To rzekłszy chciał ją wpół objąć.

— E! niech sobie panicz idzie! — zawo-

http://rcin.org.pl

łała Kasia — jeszcze kto zobaczy... Przecie to jasny dzień!

— A w nocy przyjdziesz do lasku, za ogrodem?

— Jeszcze czego?

— Przyjdź, dam Kasi ładne wstążki...

— To niech mi panicz tu dadzą...

— Nie mam przy sobie, ale do lasku przyniosę... Przyjdziesz?

— No, no — bąknęła Kasia, zmykając do dworu.

Moryc wziął to za znak zgody i uśmiechnął się zadowolony.

Nie spostrzegł złośliwego uśmiechu Kasi, ani starego Łapsgelda, który się podkradł za synem, śledził go z za krzaków i wysłuchał całej rozmowy.

— Czekaj ty sercowniku! — pogroził. — Ja ci zrobię ładny skandal w tym lasku.

I wymknął się chyłkiem do ludzi, zajętych sadzeniem kartofli w polu.

Rozmowa Moryca z Kasią, miała jeszcze jednego świadka, a był nim Filip.

Wąż zazdrości ścisnął mu serce i fala krwi uderzyła do głowy.

Zacisnął pięści i mruknął:

— Ja wam psiekrwie dam lasek.

Straszne nad Morycem i Kasią zawisły gromy.

. . . . . .

. . . . . .

Księżyc wychylił się z po za chmur i mru-

http://rcin.org.pl

gał jakby ze snu zbudzony; rzucił smugę światła na rozkoszną polankę w lesie i zatrzymał ciekawy wzrok, na niewieściej postaci, stojącej cicho pod drzewem.

Tajemnicze gwary nocy, śpiew słowika, szum lasu i szmer płynącej niedaleko wody, musiały ją usposobić do marzeń, bo stała zadumana, zapatrzona przed siebie.

Ocknęła się i zadrżała, słysząc szelest kroków za sobą i trzask suchych gałęzi. Nagle zamiast rozkoszy słodkiego pocałunku, otrzymała policzek i posłyszała drżący gniew Filipa:

— Takie, to twoje przysięgi? Takie kochanie? Na schadzkę przyszłaś? Gnaty ci ścierwo poprzetrącam.

I łącząc groźby z czynem, puścił sękatą pałkę w ruch.

Kasia oniemiała z bólu i strachu, bez tłomaczeń skoczyła do ucieczki. Podkasawszy suknię, sadziła przez pnie i krzewy, jakby jej kto skrzydła przypiął, a rozszalały Filip pędził za nią, okładał kijem i dogadywał:

— To za moje kochanie, to za śpiewki, to za psią wiarę w ciebie! Masz! masz! masz!

I biegli tak w świetle księżyca, jak dwa potępione duchy, aż do miejsca gdzie szeroka wstęga rzeczki, przecięła im nagle drogę.

Kasia widząc się w pułapce, podrażniona bólem, zawróciła i skoczyła obces na Filipa:

— Zostaw Fiłyp, dosyć tego!

http://rcin.org.pl

Filip stanął jak wryty, wypuścił kij z ręki i wybełkotał:

— Ka... Kasia!

— Ładna Kasia. Niech was oboje djabli wezmą!

Filip złożył ręce i wykrzyknął pełen radości:

— To dziedzic! O dziękaści słodki Jezu!

Istotnie był to Łapsgeld, przebrany za Kasię. Chciał Moryca zawstydzić i sam wpadł w pułapkę.

— Słuchaj Fiłyp — rzekł, obmacując sobie boki i głowę — żebyś mi gęby nie otworzył, co się tu stało. Masz rubla i halte pisk!

— Ru... rubla? — powtórzył chytrze Filip.

— A ileś ty chciał?

— Najmniej stówka mi się patrzy...

— Sto rubli? za takie bicie?

— Rzetelnie prałem, wielmożny panie — uśmiechnął się drwiąco.

— Co ty sobie myślisz, rozbójniku? — syknął pod wpływem bólu i oburzenia Łapsgeld. — Chcesz ty uszą̨ść w kryminale? Widzicie go, rzetelnie prał! Masz całe dziesięć złotych i bącz czycho, bo razem z Kaszką ze służby wilecisz! Czego kręcisz głową?

— Nie mogę wyrozumieć, skąd się tu wielmożny pan wziął?

— Kaszka, szelma temu winna!

Chciałem ją z synem moim na schadzce przyłapać, a tymczasem ona wcale nie przyszła. Taki kłamczuch!

http://rcin.org.pl

— Niech no ja tego żydziaka gdzie przyłapię — mruknął Filip.

— Poszoł won do obory! To moja rzecz! — zląkł się Łapsgeld o syna, który mógł lada chwila nadejść...

Filip stropiony nagłym wybuchem dziedzica, stulił uszy i wyniósł się czemprędzej z lasku.

Łapsgeld uspokojony, okrył głowę chustką Kasi i stanął znowu pod drzewem.

Niebawem posłyszał trzask gałęzi i ciche nawoływanie:

— Kasiu! Kasiu!

— Jestem — pisnął Łapsgeld, ściskając sękatą pałkę Filipa.

— Jesteś ukochana... Przepraszam cię, że czekałaś tak długo...

— Ale wreszcie przyszedłeś! — wybuchnął Łapsgeld, ukazując się synowi.

Moryc zbaraniał.

— Ty sercowniku! Ty capie rozpustny! To tak żyjesz z naturą? Chodź, powąchaj jak ten kij wiosną pachnie.

— Papo — oprzytomniał Moryc. — Co papa robi za komedje? Na co ta maskarada?

— Szkoda, żeś tu wcześniej nie przyszedł, ładną byś ty miał maskaradę! Oj! Ojwaj! Cały jestem rozbity i chory! Chodź tu do mnie, nic ci już nie zrobię... Twoje szczęście, że mam napad romatyzmu... Ojwaj! żeby nie ten ból

http://rcin.org.pl

wszczeknięty, jabym ci pokazał schadzkę w lasku... Odprowadź mnie do domu.

. . . . . .

Filip w przystępie czułości, opowiedział Kasi pod wielkim sekretem co się w lasku działo. Kasia zwierzyła się, również pod ogromnym sekretem, swojej przyjaciółce ze wsi, ta pod największą tajemnicą obniosła „sekret" od chałupy do chałupy i Filip wyrósł na bohatera. Ten i ów żałował, że nie widział żydowskiego prania, lecz wszyscy zgodzili się na jedno, że trzeba młodą parę wyposażyć i ożenić.

— Niech się pobiorą, to będą z nich krzepkie dzieci, a takich potrzeba dużo, bo nas żydy do cna zeżrą.

. . . . . .

Stary Łapsgeld rad, że własnemi plecami wybawił syna od wielkiego nieszczęścia, a może zabójstwa, położył się do łóżka, chory niby na romatyzm i zaprosił na ten czas swego przyjaciela z Warszawy pana Cynaderbauma z córką, panną Różą, która wnet wpadła w oko Morycowi.

Stary mrugał uszczęśliwiony na syna i szeptał mu raz po raz:

— To jest dla ciebie stosowny romans. Ona ma ładny posag i kilka bogatych ciotek bezdzietnych też.

Moryc starał się pannie przypodobać, układał dla niej serenady i śpiewał je rozmarzony przy blasku księżyca:

http://rcin.org.pl

Już słońce zaszło — psy się uśpiły,
Żaden nie szczeknie.
Śpi panna Róża — anioł mój miły,
Śpi sobie pięknie.
Mnie tylko powiek sen nie zamyka
W nocnym rozgwarze.
Słucham w ogrodzie śpiewu słowika
Wzdycham i marzę.

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

O MAĆKU I JEGO DOLI NIESZCZĘSNEJ.

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

Ciemno i smutno było na świecie. Wiatr miotał deszczem i wył żałośnie, a Maćkowi zdawało się, że to niebo tak płacze i zawodzi nad jego gorzką dolą.

Dziedzic wypędził go ze służby.

I za co?

Za krzywdę srogą jaką mu dwór wyrządził.

Stał Maciek w gąszczu krzewów ogrodowych, milczący i skulony, nie czuł, że go pies Burek liże po nogach bosych, że skomli cicho jakby się nad czemś użalał, jakby Maćka o coś prosił, a może błagał o poniechanie zemsty, która mózg chłopa świdrowała i jarzyła dzikim blaskiem oczy, wpatrzone w okno dworskie, skąd spływały na ogród potoki światła.

Hej Mocny Boże! gdzie to te lata kiedy Maciek był małym chłopcem i zakradł się do ogrodu, żeby popatrzeć, co państwo robią we dworze... Starszy pan siadywał z panią przy okrągłym stole i fajkę kurząc, karty układał, albo gazetę czytał. Pani dziedziczka robiła na drutach pończochy, a panicz z panienką grali na fortepianie... Grali tak ładnie, aż się dusza w Maćku śmiała!

Nieraz bywało, zjechali goście do dworu.

http://rcin.org.pl

Dopiero to była uciecha i tańce... A co jadła! a co picia!

Czasami panienka i Maćkowi coś dobrego wetknęła, gdy go przededworem bosego i w koszulinie spostrzegła.

Czasami starszy pan łuknął na panienkę, widząc, że ta chłopcu coś za pazuchę wsuwa.

— Nie psuj chłopaka — wołał — bo barszczu nie będzie żarł w chałupie.

He! he!

Maciek i barszcz żarł, aż mu się uszy trzęsły, i na łakocie od panienki znalazł miejsce w niezawsze pełnym brzuchu swoim.

Gdzie to te czasy?... Gdzie się to wszystko podziało?

Dziś przy okrągłym stole też państwo siedzi, ale inne, żydowskie z przeproszeniem. Siedzi i szabas święci.

Niech sobie świętują, kiedy mają taki obrządek. Maćkowi nie o to chodziło. Spoglądał ciekawie, czy są wszyscy w domu.

Choć słyszał, że najstarszy syn nowego dziedzica, pan Moryc, wyjechał do Warszawy, chciał się jednak naocznie o tem przekonać, gdyż obecność pana Moryca wiązała go ściśle z jego dolą, którą niebo opłakiwało, nad którą pies Burek skomlił żałośnie i on, Maciek, łzami oblewał.

Jakże nie miał chłop markocić, jakże nie miał pomsty Bożej przyzywać, kiedy Antek, fornal, co

http://rcin.org.pl

pana Moryca na kolej odwoził, mówił, że widział Maćkową na stacji.

— Jeno mi się, zapowietrzona, w ocach mignęła i wsiadła za parszywcem do pociągu, co pognał do Warsawy.

Stara Błażejowa klęła się też na zbawienie duszy, jako Jagnę wypatrzyła wczesnym rankiem idącą w stronę kolei.

Ten i ów widział, wszyscy widzieli, jeno on, Maciek, widzieć nie mógł, bo spał na pańskiej oborze, jak mu to z kolejki służbowej wypadało.

Gdy przyszedł na śniadanie, Jagny w chałupie nie było, tylko „robocek", mały Jantoś, darł się w kołysce. Myśląc, że Jagna wyszła po wodę, Maciek wziął chłopca na rękę i zaczął go tulić i uspokajać, aż tu sąsiadka Błażejowa w drzwiach izby stanęła, ręce załamała i nuż nad Maćkiem lamentować:

— Nieszczęsna, Maćku, twoja dola! Na co ci to przyszło! Suka szczenięcia nie porzuci, dopóki go nie odkarmi, a twoja Jagna zostawiła robocka, rzuciła chałupę, krowinę, wieprzka i ciebie i het za żydem w świat daleki pociekła!

— Laboga, rety, co wy gadacie! — zatrząsł się Maciek, wypuszczając dziecko z ręki.

— O, ty niezdarzony chłopie! — krzyknęła Błażejowa, podnosząc robaczka z ziemi. — Co godom? prawdę godom. Sama ją klempę widziałam jak darła z tobołeckiem bez pole. Zapytaj ludzi... Widzieli... Przyświadczą...

http://rcin.org.pl

— Jezu miłosierny! — jęknął Maciek.

— Sameś sobie biedę sprowadził... Potrzebnieś żyda zmrowił do chałupy?

— Dziedziców syn...

— Dziedziców... dziedziców, tfy! żydowski syn, nie dziedziców... Plemię pogańskie, zagłada prostego narodu! Zapomniałeś to naszej dobrej panienki?... Prawdziwych naszych starych dziedziców? Gdzie oni! gdzie oni!

Tu Błażejowa nagle ryknęła wielkim płaczem. Zawtórował jej robaczek na ręku i Maciek i cała gromada służby dworskiej, która Maćka pocieszać przyszła.

— Pluń na babę! — przemówił któryś po chwili.

— A juści, na babę! — wrzasnęła Błażejowa. — Chłopu napluć w oczy, że baby nie pilnował... Gadaj! po co tu do was ten żyd parszywy zaglądał?

— Jagnę czytać uczył — mruknął Maciek głucho.

— Uczył... uczył... Ładnie ci ją wyuczył... Na obrazę Boską!... Na wstyd i pośmiewisko ludzkie!

Maciek spojrzał na ludzi, popatrzył na Błażejową, porwał dziecko i jak warjat wypadł z chałupy, prosto do dworu.

Nowy dziedzic stał na ganku, gdy Maciek z krzykiem podbiegł do niego.

— Gdzie moja Jagna? Gdzie ten podlec, twój syn niechrzczony?

http://rcin.org.pl

Żyd się zatrząsł.

— Czego ty robisz taki krzyk i harmider? Czego ty odemnie potrzebujesz? — wołał, przerażony dzikim wzrokiem chłopa.

— Gdzie Jagna? — ryczał Maciek. — Gdzie moja żona? Oddajcie dziecku matkę, co ją twój syn, Moryc wywiózł gdzieś na zatratę!

Krzyk Maćka zwabił całą służbę.

Wrogie pomruki tłumu stropiły żyda do reszty. Cofnął się do dworu, zaryglował drzwi i zaczął wrzeszczeć przez pół otwarte okno:

— Gewałt! Bandyty! Złodzieje! Policja!

I kto wie, jakiby obrót cała sprawa wzięła, gdyby nie sołtys, który się nagle zjawił i jął uspokajać wzburzone umysły.

Żyd widząc urzędową władzę wiejską, nabrał odwagi, wychylił się z okna i krzyknął grzmiącym głosem:

— Maczek! czekaj ty złodziej, rozbójnik! Ja czebie i twoją sielmę babę oddam do sądu, jeśli to prawda jest, że ona syna mego, pana Moryca zbałamuciła!

Wy łajdaki rozpustne! ja wam tego nie daruję!

Panie Sołtys, zostań pan tu u mnie we dworze i daj znać przez kogo do wójta, niech tu przyjedzie i protokół o napadnięcie spisze! Ja zaraz poślę depeszę do powiatu, do gubernii!... sprowadzę kozaków!... Baty! baty na was chamy, rozbójniki! Czekaj ty, Maczek, łajdaku! ty pierwszy zgnijesz w kryminale!

http://rcin.org.pl

Maciek gębę otworzył ze zdumienia i stał chwilę jakby ogłuszony.

— Ja? ja mam zgnić w kryminale? — Jakto? — wyło mu coś w głębi duszy — skrzywdzili cię, pohańbili i jeszcze w dodatku grożą ci kryminałem.

A złapże chłopie głupi kamienia i sam sobie zrób sprawiedliwość...

Rozbij ten rudy czerep żydowski!

Chłop głosu posłuchał, przycisnął silniej dziecko do piersi porwał za kamień i skoczył do okna.

— Wpierw cię uśmiercę parchu przeklęty, a potem gnił będę! — wrzasnął.

Na szczęście sołtys zastąpił Maćkowi drogę.

— Upamiętoj się bidoku — przemówił do chłopa serdecznie. — Krześcijanin jesteś, katolik, nie gub ciała i duszy.

Maciek głowę pochylił i załkał rozpacznie, wypuszczając kamień z ręki.

— Panie sołtys! panie sołtys! — krzyczał żyd przez okno — każ pan temu bandycie związać ręce i nogi... Ja dam furmankę, niech go pan zaraz stąd precz zabierze, do gminy!

— Nie trza, panie dziedzicu — perswadował sołtys. — Już go złe odeszło...

— Ja nie chcę tego łajdaka widzieć na oczy — darł się żyd — żeby on sobie jeszcze dziś wyniósł z mojego dworu, z mojej chałupy! Precz! precz!

http://rcin.org.pl

Maciek pochylił jeszcze niżej głowę i z dzieckiem wyszedł za bramę. Naprożno stara Błażejowa chciała mu pomóc, dziecko płaczące nakarmić i utulić.

— Nie dom — mruknął — nie dom...

I ruszył przed siebie.

Za nim powlókł się pies Burek, zły i nastraszony, jakby rozumiał krzywdę swego pana, którego pohańbili i w dodatku precz ze służby wygnali.

Hej, mocny Boże, czy to za dawnego dziedzica mogło zdarzyć się coś podobnego?

Jakże było inaczej!

Dwór i wieś to jakby matka i dzieci. Jeden pomoc, drugi radę, trzeci pocieszenie dla duszy znalazł. Nikt krzywdy nie doznał, owszem dobrze się ludziom działo!

Hej, mocny Boże! za dobrze było!

Mateusz Sroka, co za furmana we dworze służył — siedzi teraz na swojem, na półtora włókowem obejściu...

Kuba Grzędziel, sadowy kupił sobie dwór z ogrodem po rozparcelowanym majątku...

Wojciech Skoczylas, gajowy, drzewem w mieście handluje..

Łukasz Skiba, karbowy, po dzierżawach chodzi...

Ignacy Pyskalski, ekonom, zakupił wieś całą...

A z czego?

Wstyd powiedzieć. Państwo serce mieli na

http://rcin.org.pl

dłoni, ludziom wierzyli, a ludzie kradli dobytek dziedziców, kradli co wlazło!

Kradli ludzie dworscy i kradli ludzie ze wsi, wypasając nocami po polach dobro pańskie, aż nastał dzień kary Boskiej. Państwo wieś sprzedali, nie mogąc poradzić z takim narodem.

We dworze nastały nowe rządy.

Żydowskie!

Prawdziwy dopust Boży!

Rozważał tak sobie wszystko Maciek, ukryty w gąszczu krzewów ogrodowych, gdzie się znalazł wieczorem party krzywdą, która mu krew paliła.

Chłód był coraz więcej przejmujący, ale Maciek zimna nie czuł, ogniem wrzał i zemstą dyszał.

Robaczka swego zostawił dla ciepła pod żłobem w oborze, na opiece Burka przyjaciela.

— Jezu! — zadrżał nagle — a dyć Burek kole mnie stoi, drapie łapą, liże po nogach i skomli... Jezu! pies by dziecka po próżnicy nie odstąpił... Rety! czy, aby robackowi się co nie stało!

Tknięty dziwną psa żałością, wybiegł chyłkiem z ogrodu, przekradł się koło stajen i wsunął się z Burkiem do obory.

Krzyk straszny, urwany, rozległ się wśród nocy.

Maćkowe dziecko krowa stratowała.

. . . . . .

http://rcin.org.pl

We dworze uroczyście szabasowano.

Dziedzic, korzystając z nieobecności syna, który jako postępowiec, wyśmiewał religijne obrządki żydowskie, ubrał się odświętnie, jak to czynił za owych czasów, gdy jeszcze faktorował w małem miasteczku i tak wystrojony zasiadł z żoną swoją Ruchlą do wieczerzy.

Po spożyciu kolacji pan dziedzic poczuł nieprzepartą chęć wypalenia cygara, ale, że w szabas czynić tego talmud nie pozwalał, więc żyd umiejący zawsze obchodzić prawo, poradził sobie inaczej. Zawołał służącego, Bartka, kazał mu wziąć z biurka cygaro, zapalić i stanąć za fotelem.

— Będziesz mi puszczał pod nos dym z mojego cygara, rozumiesz? — rzekł.

— Rozumiem...

— Puszczaj duże kłęby dymu, żebym się mógł dobrze zaciągać...

— Uważam.

— A sam dla siebie nie pal, bo ci to cygaro z zasług wytrącę, rozumiesz?

— Dyć, rozumiem — odrzekł niecierpliwie Bartek, otaczając żyda kłębami dymu.

Dziedzic wyciągnął się w fotelu rozkosznie i łykał wonności hawańskiego cygara.

Bartek tymczasem myślał o Maćku, o jego krzywdzie i dziwił się, że chłop pomsty zaniechał.

— Zaczekaj, zaczekaj! — posłyszał nagle

http://rcin.org.pl

i drgnął przerażony, bo mu się przywidziało, że to Maciek przemówił.

— Czego się ty trzęsiesz? — Mówię ci zaczekaj, kurzysz jak z komina — roześmiał się dziedzic, spoglądając na Ruchlę.

Żydówka skorzystała z dobrego usposobienia męża i zapytała go w żargonie:

— Natan, jak ty myślisz załatwić sprawę naszego Moryca z tym chłopem?

— Ja wcale o tem nie myślę...

— Co ty gadasz? Wypędziłeś go ze służby, nic mu nie dałeś, on nas gotów spalić...

— Niech spali, dla czego nie, ja wszystko dobrze ubezpieczyłem...

— A jak on ciebie zabije?

— Mnie? — wstrząsnął się żyd. — Za co? przecie ja nie romansowałem z jego żoną.

— To on Moryca zabije...

— Bądź spokojna... Ja do Moryca już telegrafowałem, że się wszystko wydało i żeby się tu nie pokazywał do tego czasu póki chłopa nie złapią i nie wsadzą do kryminału. Strażniki go szukają...

— Natan, Natan, zostaw ty tego chłopa... On sobie poszedł sam i to ci powinno wystarczyć...

— Musi być jakiś porządek — obruszył się żyd. — Jakto? On napada z kamieniem na swego pana dziedzica, na mnie, obywatela ziemskiego ja mu mam to darować?

http://rcin.org.pl

— Może ty masz swoją rację, jabym przecież wolała, żeby się to inaczej skończyło...

— A jak ty chcesz, żeby się skończyło?

— Każ ty Morycowi nazad oddać chłopu tą kobietę... Ja się boję...

— Czego?

— Żeby wypadkiem Moryc nie zgłupiał i nie zrobił nam hańby, wstydu i kompromitacji...

— Nie rozumiem o co ci chodzi?

— Żeby on się z nią nie ożenił...

— Moryc? Ha! ha! ha! Moryc? — śmiał się żyd — Ruchelko tyś naprawdę zwarjowana... Ty wcale nie znasz naszego Morycia. On się trochę pobawi... Pojedzie z nią za granicę i tam ją sprzeda... Ja go znam, on darmo ekspensów nie robi...

— Tak myślisz? — ożywiła się żydówka.

— Czy to pierwsze jego bałamuctwo? Pamiętasz Rózię?

— Żydówka, to co innego...

— Lucynkę pamiętasz?

— Pamiętam... Śliczna dziewczyna była...

— A jednak w świat ją puścił...

— Boś ty mu pomógł...

— Co dziwnego? Jak ja nie miałem pomóc swojemu dziecku? Teraz mu też pomogę... Napiszę do brata, do Hamburga, albo dam znać stryjowi w Berlinie... Ty wiesz, że oni dobry towar lubią... Bo ta małpa naprawdę piękna jest... Ja sam zwróciłem uwagę Moryca na ten prawdziwy typ słowiański w moim majątku...

http://rcin.org.pl

— Jednakże jabym była spokojniejsza, żebyś Maćkowi dał parę rubli na pociechę. Chłop łakomy na pieniądze jest.

Żyd wydął usta i rzekł uroczyście:

— Przed chwilą wytłómaczyłem ci już nasze stanowisko społeczne i bardzo się dziwię, że ty o niem zapominasz. Ja mu mam zapłacić za to, że on się na mnie, obywatela, rzucił? Że mi od parchów nawymyślał? Gdzie honor? Gdzie ambicja? Zresztą, ja nie jestem zawzięty, ile mu sąd przyzna odemnie — zapłacę.

— Rób, jak uważasz — westchnęła żydówka. — Ty masz swój rozum i sumienie.

Sumienie.

Dziwnie to słowo zabrzmiało w ustach żydówki.

Na dworze wiatr huczał żałośnie, Bartek skończył cygaro i wyszedł, a małżeństwo zostało sam na sam w pokoju.

Dogasające w lichtarzach szabasówki rzucały fantastyczne odblaski po ścianach starodawnej siedziby szlacheckiej.

— Ruchla szepnął żyd nagle — mnie coś dolega.

— Może zjadłeś cokolwiek za dużo?

— To nie z tego. Mnie coś gryzie...

— Co ciebie może gryźć? Przecie wziąłeś dziś czystą bieliznę...

— Ruchla — zniecierpliwił się żyd — dlaczego ty robisz głupią?

http://rcin.org.pl

— Ja? — zdumiała się żydówka.

— Ty! — rzekł z naciskiem. — Mnie gryzie myśl, czy Moryc będzie chciał zaraz wypuścić z ręki tę chrześcijankę? On się robi taki postępowy...

— A widzisz! widzisz, ty się też o niego lękasz — rozżaliła się żydówka.

— Ja sam nie wiem, czego ja się lękam...

— I ja się boję...

— Głupstwo! — otrząsnął się żyd.

— To musi być wina psów, co dziś tak wyją na dworze... Jutro każę je memu rządcy powystrzelać... One mi nerwy psują.

— Ja oka nie zmrużę...

— To weź senne proszki i mnie daj też...

— Zażyjemy po dwa, to nas uspokoi, ale ty Natanie pozamykaj wpierw drzwi i okna dobrze. Bartek też złodziej jest, może nas okraść jak będziemy mocno spali.

. . . . . .

Pogasły już dawno światła we dworze i tylko wiatr huczał żałośnie. Raptem przycichł, jakby zdziwiony nagłą jasnością wielką, która starodawną siedzibę szlachecką ze wszystkich stron ogarnęła.

— Gore! gore! — rozległy się krzyki.

— Dwór się pali!—zawrzało w pomroce nocnej.

— Stodoły w ogniu! — wołano.

Istotnie gorzał dwór i zabudowania dworskie, z czterech rogów podpalone.

http://rcin.org.pl

Pożar był dziełem Maćka.

Za srogą krzywdę.

Za pohańbienie matki i żony...

Za śmierć dziecka.

Maciek żydów podpalił.

Wśród strasznej pożogi hulał wiatr i głuszył krzyki rządcy — żyda, który wołał rozpacznie:

— Dziedzic! ratujcie dziedziców! Ratujcie konie i bydło jeśli macie litość i sumienie!

— Litość!

— Sumienie!

Szukaj litości i sumienia w zranionej duszy chłopskiej!

— Kara Boża! —

Krzywda ludzka! — płynął pomruk ze zbitej gromady służby i włościan, lecz nikt nie kwapił się z ratunkiem.

Stara Błażejowa trzęsła się febrycznie, wypatrując czy Maćka nie zoczy.

— Jego to sprawa — huczało jej w głowie i drżała z obawy, żeby go strażnicy nie schwytali, bo coś pilnie przy ogniu chodzili i o Maćku mówili.

Dwór tymczasem płonął jak pochodnia, o ratunku żydów nie mogło być mowy.

Jeden Bartek szczęśliwy ocalał, przebudziwszy się dość wcześnie.

Gdy straszna łuna rozlała się szeroką płachtą po niebie, a krwawe blaski padły na przydrożne drzewa, coś mignęło na topoli.

http://rcin.org.pl

Błażejowa przetarła oczy, szturchnęła dwie obok stojące kumoszki i wskazała im palcem przedmiot jakiś ciemny, a długi bujający się na gałęzi.

— Boże miłosierny! — wykrzyknęły kobiety.

— Cosik dynda na drzewie!

— O Jezu! O rany Boskie! — adyć to Macik się obwiesił!

— Nie szumieć! — wołali strażnicy, przeciskając się ku drzewu.

Nu i naszli mołodca, roześmieli się.

Odcięto trupa i złożono pod drzewem.

— Upiekł żydów i sam się życia wyzbył! — zawrzało w gromadzie.

— Burek ino ostał i wyje.

— I dziecka pilnuje — wzruszyła się Błażejowa, podnosząc zawiniątko, przy którem pies leżał.

— A dyć to trupek zimny i połamany! — krzyknęła.

Pokiwały baby głowami.

Zrozumiały tragedję duszy Maćkowej.

— Nie przemógł żalu i boleści...

— Za Jagną...

— Za robockiem...

— Za jedynym...

— Zamarł ano w grzechu...

— I przez zbawienia...

— Ludzie! — zwróciła się do swoich spła-

http://rcin.org.pl

kana Błażejowa — zmówma pacierz za te dwie bidne dusze nieszczęśliwe...

Gromada, jak jeden mąż uklękła w świetle pożogi i w szczerem skupieniu jęła odmawiać wieczny odpoczynek...

http://rcin.org.pl

WDZIĘCZNOŚĆ.

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

W polu, na wzgórku leżał chłopak wiejski, pilnując krów pasących się na ugorze. Obok siedział pies, ziajał z gorąca i od czasu do czasu trącał nosem pastuszka.

— Głodnyś? — pytał chłopak.

Pies tulił uszy, oblizywał się i kręcił ogonem.

— Ja też głodny jestem — perswadował mu chłopak. — Spędzimy krowy na południe, to nam dadzą jeść w chałupie. Tymczasem leż albo i nawróć Krasulę, bo na dworskie spogląda.

Pies skoczył w stronę krów, a chłopak ziewnął i wyciągnął się w jasnem słonku. Po chwili spostrzegł unoszącego się nad sobą skowronka i jął śledzić lot ptaszka, wzbijającego się pod niebiosa.

— Taki mały, a jak to świergoli — rzekł półgłosem. — Oj, żebym to ja tak potrafił — westchnął.

Nagle twarz mu się rozjaśniła.

Wstał i pobiegł ku granicy dworskiej, gdzie nad strumykiem rosły wierzby złote.

Urżnął kilka pędów i wrócił na wzgórze.

— Burek! — krzyknął. — Nawróć krowy i do nogi!

Pies spełnił rozkaz krów dotyczący, ale do

http://rcin.org.pl

nogi nie spieszył, bo go zaciekawił ruch jakiś niezwykły w poblizkiej oziminie.

Pociągnął nosem, postąpił ostrożnie naprzód i przywarował.

Chłopak, zajęty badaniem ściętych pędów wierzbowych, nie spostrzegł psich manewrów.

Uwagę całą poświęcił fujarce, którą linił zapartym oddechem. Ściągnął korę, dopasował klinik i wypróbował — grało!

Uśmiechnął się z radości.

Wydął policzki i przytknął do ust swoje arcydzieło

Zawdzięczała niewyszukana, ale słodka melodja i rozpłynęła się po polu na wtór ptaszynie szarej, co gdzieś tam, hen w górze, na chwałę Panu śpiewała.

. . . . . .

Za górką orał chłop, posłyszał fujarkę, pierś mu echem wspomnień lat młodszych wezbrała, więc zaśpiewał:

Wiosna moja, wiosna,
Cóżeś nam przyniosła?
Chłopakom piszczałki,
Dziewczynom fijałki!

— Prrrr! — urwał nagle, wstrzymując konia. — Ciekawość, co to za muzykant taki gra!

Pokręcił głową i rozejrzał się dokoła.

— A niech cię jasności! — zaklął odpasując rzemień od spodni. — Dam ja ci, hyclu, muzykę! Krowy w szkodzie, a on siedzi i gra!

http://rcin.org.pl

To rzekłszy, ruszył chyłkiem, ztyłu chłopaka pochwycił i jął go grzmocić paskiem po plecach, przygadując:

— A gdzie krowy? gdzie? gdzie?

— Matulu! laboga, matulu! — wrzeszczał chłopak.

— Matuli wołasz? — drwił stary, okładając syna mocniej. — Krzycz choćby na babkę!...

Gorącą rozprawę przerwało jazgotliwe ujadanie Burka, który wytropił zająca i pognał za nim, jak szalony.

Chłop puścił swoją ofiarę, spojrzał za psim harmidrem i krzyknął żałośnie:

— Patrz! widzisz, hyclu jeden, co twoja muzyka narobiła? Krowy w szkodzie... Burek gania po dworskiej oziminie, a polowy z „ruzią“ drogę mu zabiega.

I rozgorączkowany złożył dłonie przy ustach i z całej mocy zawołał:

— Burr-reek!

Coś dziwnie ostrzegawczego dla psa musiało zadrgać w głosie chłopa, bo Burek raptem przycupnął i prawie rozpłaszczył się w bruździe.

Jednocześnie huknął strzał.

— Chybił! chybił — zaśmiał się chłop z radości i powtórzył wołanie:

— Burr-reek! Żywo! rwij do nogi! bo ten ścierwo znów „ruzię“ nabija!

Pies w szalonych podskokach przypadł do

http://rcin.org.pl

swego pana, chłop porwał go na ręce i zwrócił się z tryumfem do polowego.

— Daligo! popraw! strzylaj!

— Nie dziś, to jutro!

— Na stare ziaby poluj kołtunie! Co ci mój pies zawinił?

— Zwierzynę płoszy...

— Cham! cham! cham! — szczeknął pies, srożąc się na swego prześladowcę.

— Sprawiedliwie ci wyszczekuje, boś rzetelny cham i zbójca — wołał chłop za znikającym w zaroślach polowym.

A do psa się zwrócił:

— Swoją drogą wnyki cię jucho nie miną... Zające ci pachną psia wełno, a krów nie pilnujesz? A mleko z garnków wychłeptywać lubisz, jak cię nikt nie widzi złodzieju?... Tak szanujesz swego gospodarza?

Burek spuścił łeb jakby się wstydził nerwów, które go za kotem uniosły, zerknął na chłopa i nagle wsparł się łapami o jego piersi i liznął go ozorem po twarzy.

— Idź-że ty chorobo! — splunął chłop, puszczając psa na ziemię. — Widzicie jaki to przychlebca... Żebyś mi nie wiem jak basował — swoje dostaniesz!

— Ale — mruknął, rozglądając się bacznie — gdzie się podziały krowy? Ja-an-tek! — zawołał donośnie.

Odpowiedzi nie było.

http://rcin.org.pl

— Hm — pokręcił głową. — Jak to się uwinął... Pewnie krowy pognał do obory i trzyma się już kiecki matczynej... Trzymaj się, trzymaj... Ja ci nic nie powiem, jeno raz jeszcze paskiem po plecach wytłomaczę.

Antek tymczasem biedził się z krowami, które słońcem rozgrzane gzić się zaczęły i przebiegać z pola na pole, co raz dalej od chłopskiej granicy, co raz bliżej ku dworskiej siedzibie, aż wpadły w zasadzkę, jaką polowy na prędce z parobkami urządził.

— Tuś mi grajku — flecisto! — zaśmiał się sługus dworski, chwytając Antka za konopiastą czuprynę.

— Panie Wicenty — prosił chłopak — niech mnie pan Wicenty puści... Przecie ja nic nie winien.

— Ale krowy zboże stratowały!...

— Co za zboże? Tyluśka ozimina — tłomaczył chłopak, wskazując ręką niewielką odległość od ziemi.

— We dworze się wytłomaczysz!...

— Mój złoty panie Wincenty, puśćcie, bo mi tatulo skórę zerżną...

— A niech ci zerżnie!... Niech cię nawet ze skóry obłupi. Będzie jednego chłopa mniej na świecie.

Antek, nad wiek rozwinięty, podniósł dumnie głowę i rzekł przez łzy:

— Przecie i wy chłop, panie Wincenty...

http://rcin.org.pl

— Co? — zagrzmiał polowy, urażony w swojej godności, bo waszecia udawał.

— Tatulo mówili — tłómaczył się Antek.

— Milcz i jazda do dworu!

Fatalność postawiła go przed oblicze pana Leona Cynamona, świeżo upieczonego dziedzica Koziej Wólki.

Pan Cynamon z powagą wysłuchał raportu polowego i zapytał, wskazując palcem na chłopaka:

— Jak on sze nazywa?

— Jantek — odpowiedział chłopak rezolutnie.

— Czycho! — zgromił go dziedzic — nie czebie sze pitają! Niech polowy gada!

— Antek Szczygieł, proszę, wielmożnego pana dziedzica.

— Ładny ptaszek...

— Syn Grzeli...

— To un potrzebował paść bydło na mojej psienicy?

— Pasł.

— Nie pasłem — zaprzeczył Antek śmiało.

— Czycho! — tupnął nogą dziedzic.

— I wierzby ścinał nad rzeką — dorzucił polowy.

— Wierzby szczynał?

— Nieprawda! polowy cygani!

— Pociekaj... pociekaj kochanku — przerwał mu słodko pan Cynamon. — To się wsi-

http://rcin.org.pl

stko wijaszni... Szekierą szczynał? — zwrócił pytanie do polowego.

— Żydkiem ino kilka pędów wyrżnąłem — przyznał się Antek.

— Ży-żydkiem? — powtórzył przerażony dziedzic. — Jakim żydkiem? Co to jest? Co un gada?

— Bo to, wielmożny panie dziedzicu, kozik czyli nóż tak we wsi nazywają — wyjaśnił polowy.

— Kozik, czyli nóż — powtórzył uspokojony p. Cynamon. — Ja czebie wsadzę na kryminał za ten kozik, czyli nóż i za szczęte drzewo.

— Przecież drzewa niebyło — wzruszył ramionami chłopak. — Fujarkę sobie z gałązki uliniłem... O! — wskazał, wyjmując z pod pachy piszczałkę.

— Ja tobie dam fujarkę! Ty nie wisz gałganie, że z tej fujarki mogło wirość duże drzewo i jabim wżoł za to drzewo ładne pieniądze? Nie prawda Wincenty?

— Sprawiedliwie wielmożny pan dziedzic mówią — przytaknął polowy.

— Zdajemysze, że jego ojciec chodzi na wyrąb do mojego lasu? — spytał pan Cynamon.

— Chodzi...

— Ja zaraz zobaczę, co un u mnie zarobił — rzekł zawracając ku dworowi. — Ja tu zaraz przyjdę.

Po odejściu dziedzica Antek burknął do polowego.

http://rcin.org.pl

— Wstydziłby się pan Wincenty takie łgarstwa powiadać...

— Stul gębę hardzielcze zapowietrzony i obłap pana za nogi... Pocałuj go w rękę, poproś, może ci szkodę daruje.

— Obłapcie i całujcie go sobie sami!

— Ścierwa — splunął Wincenty i błysnął złym wzrokiem na chłopaka — Dawaj fujarkę! — krzyknął.

— Nie dam!

Polowy zwinnym ruchem wyrwał mu z pod pachy drogocenny instrument, połamał go, rzucił na ziemię i nogą przydeptał.

— Nie będziesz jucho dudlił.

— Mało to wierzb rośnie nad rzeką? — chlipnął Antek zaczerwieniony.

— Rosną, ale dworskie, nie twoje!

— Ani dworskie, ani moje, tylko Boskie!

— Trąć mi choć jeden patyczek...

— Co mi pan Wincenty zrobi?

— Niech no ja posłyszę granie, zobaczysz!

Sprzeczkę przerwał powrót dziedzica z notatnikiem w ręku.

— Jest Grzela Szczygieł — oznajmił — zarobił u mnie pięcz złotych... Trochę mało, ale niech mu djabli wezmą... Można bidło wipuszczyć... Ja mu ten zarobek witrącę za dzisiejszą szkodę.

— Kiedy szkody nie było! — postawił się Antek.

http://rcin.org.pl

— Wirzuć tego łajdaka z mojego podwórza!

— Ajnścwajdre! — komenderował Wincenty, wskazując Antkowi bramę.

Chłopak spojrzał pogardliwie na polowego, ale za bramą nie wstrzymał i w bek uderzył.

— Sprawi ci stary muzykę! — buchnął za nim śmiechem polowy. — A psa pilnuj, bo ci go zastrzelę! — dorzucił.

III.

Antek pochlipując i biadając, pędził Krasulę i Graniatą, gdy nagle posłyszał głos współczucia za sobą.

— Czego ty płaczesz, chłopcze?

Obejrzał się i spostrzegł księdza wikarego, który stojąc z dwoma gospodarzami Majem i Lądem na drodze, uśmiechał się przyjaźnie do niego.

Antek przypadł do rąk księdza i rzekł rozżalony:

— Bo mi żyd krowy zafantował!

— Przecież je pędzisz...

— Bo wypuścił, ale karę tatulowi zapisał... Pięć złotych ma z zarobków wytrącić...

— Bez sądu? — roześmiał się Maj.

— Bajduła z ciebie — dodał Ląd.

— Polowy nagadał, że pasłem krowy w pszenicy...

http://rcin.org.pl

— Z tego polowego to cygan zawołany — wtrącili obaj gospodarze, spluwając. — Staliśmy tu obaj i widzieli jak było.

— A jak to było? — spytał ksiądz.

— Ano, proszę ojca duchownego — wyjaśnił Maj — ten Wicenty, to jeno łazi po polach i myszkuje, gdzie by co komu na złość zrobić, bo od żydowskiego pana dostaje po dziesiątce za każdą krowę w szkodzie zajętą. Krówska, jak to krówska, zadarły ogonów i nuż biegać po polu. Chłopak nie mógł sobie z niemi poradzić, bo mu poleciały na dworskie grunta... Polowy zastąpił im drogę z parobkami i pognał do dworu... Za to kary nie może być... Przecież sprawiedliwość jest... My obaj za świadków staniemy...

— Słyszysz? — pogładził ksiądz Antka po głowie. — Nie płacz, nie masz się o co martwić...

— Ale — chlipnął chłopak — bo mi to tatulo za te krowy skóry nie zerżną?

— Będziesz miał twardszą — zakpił Maj.

— I krzepoty w sobie nabierzesz — roześmiał się Ląd.

Lecz ksiądz wikary był innego zdania. Uśmiechnął się do chłopaka i rzekł mu na pocieszenie.

— Nie bój się. Idę w stronę waszej zagrody, to ojcu wszystko wytłomaczę.

http://rcin.org.pl

IV.

Grzela nie zastawszy krów, ani Antka w domu kręcił się gorączkowo po podwórzu, niby coś porządkując, a co chwila wyglądał niespokojny na drogę.

— Gdzie ten rak zacieczony przepadł z gadziną? — pomrukiwał.

Wtem dostrzegł Burka, wylegującego się przed chałupą na słońcu.

— Kundel ścierwo! przez niego cała turbacja, a pudziesz ty, psia wełno do budy? — krzyknął podnosząc kamień z ziemi.

Pies, który z pod oka śledził krętaninę chłopa po podwórzu, spostrzegł niebezpieczeństwo, chlusnął w górę i uniknął ciosu, ale zaskowyczał politycznie, żeby Grzeli zrobić przyjemność.

— Ojciec! — zawołała Grzelina z izby.

— Ha?

— Dajże psu spokój...

— A juści!

— Idzie Jantoś?

— Gdzie?

— Pytam się...

— Nie widać! — splunął Grzela. — Chyba sam go puńdę poszukać...

— Nie bądź że taki nagły — perswadowała kobieta, sama trochę niespokojna nietylko o krowy, ale i o syna, któremu chłop cięgi obiecywał.

http://rcin.org.pl

— Zginęły jak kamień w wodzie — biadał Grzela.

— Co miały zginąć? Przecie nie pchły. Popilnuj no strawy przy kominie, to ja wyskoczę i pomogę Jantkowi przygnać gadzinę. Pewno ma z nią urwantes na taki gorąc.

— Pilnuj sama, to ja pójdę.

— Ojciec — wybiegła z izby Grzelina.

— A cóż tam? — zniecierpliwił się chłop.

— Tylko mi Jantolka nie bij...

— Głaskoł go będe...

— Bumuu! — uderzyła w płacz Grzelina.

— Co ty za dudki stroisz? — zdumiał się chłop.

— Jedno nam Pan Bóg dał — rozczuliła się, ocierając łzy fartuchem.

— Nie jedno, bo czworo było! — zaprzeczył Grzela.

— Gdzie je masz?

— W świętej ziemi leżą — szepnął markotnie.

— Oj! leżą, leżą! — szlochała Grzelina.

— Zabiję go to? — wystąpił z perswazją Grzela.

— Sprałeś go już na polu, widziałam, ino od garnków odbiedz nie mogłam... Teraz znów go chcesz katować!.. Bumuu! Sumienia chłopie nie masz!

Scenę małżeńską przerwało radosne szczeknięcie Burka, który, nie bacząc na możliwe

http://rcin.org.pl

ciosy z ręki swego chlebodawcy, wypadł z jazgotem na drogę.

— I ten, psia wełna, awantury stroi! — krzyknął za nim chłop, upatrując kamienia.

Lecz się uspokoił na widok krów, wchodzących na podwórze. Ztyłu kroczył śmiało Burek z podniesionym do góry ogonem.

Niebawem ukazał się w bramie spocony Antek, a za nim ksiądz wikary.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus — przemówił ujrzawszy Grzelę.

— Na wieki wieków amen — odpowiedziało małżeństwo, witając niespodzianego gościa.

— Przychodzę was prosić żebyście Antka nie bili...

Grzelina pochyliła się do nóg wikarego.

— Niechże ojcu dobrodziejowi Matka Najświętsza wynagrodzi za dobre słowo. Ja go tam palcem nie trące, ale ten drongal — wskazała na Grzelę — strasznie gorący do bicia. Proszę go, błagam, a on nic, tylko paskiem mi wytrząsał, łaził po podwórzu jak zmokła kura i czaił się na chłopaka, jak ten pies na kota!

— A odpuść nam nasze winy — przemówił uroczyście wikary.

Grzela rad był w duchu z obrotu sprawy, lecz dla zachowania ojcowskiego honoru, zrobił minę srogą i rzekł do Antka.

— No, żeby nie łaska ojca duchownego, tobyś mnie raku popamiętał! Obłap, dobrodzieja za nogi i podziękuj.

http://rcin.org.pl

Chłopak na to tylko czekał, ale od księdza, na znak matki, przypadł do starego, czem go ostatecznie udobruchał.

— Gdzieś ty się bałamucił? — spytał Grzela syna, gdy ksiądz wikary przysiadł w chłodzie dla wypoczynku.

— Polowy mi krowy zafantował...

— Co? — podniósł głos stary.

— Bo to widzicie gospodarzu — wtrącił ksiądz wikary. — To tak było.

I opowiedział mu całe przejście z polowym i dworem, a także wspomniał o dwóch świadkach naocznych, którzy widzieli, że krowy w szkodzie nie były.

— Ii! kiedy tak, to z żydem bajki! — roześmiał się chłop.

— Polowy, tatulu chciał, żebym żyda w rękę całował i do nóg mu padał — przemówił rezolutnie Antek.

— A ty co na to? — spytał chłop, świdrując wzrokiem syna.

— A no — zaczerwienił się Antek — powiedziałem: obłapcie i całujcie go sobie sami.

— Matka — błysnął zębami Grzela — słyszysz?

— Ba — dmuchnęła dumnie Grzelina. — Przecie Jantoś, to twój syn rodzony.

— Żyda psiąkrew całować kazał — splunął Grzela.

Ksiądz wikary ręce podniósł zgorszony.

— Bójcież się Boga! przecie to wasz bliźni!

— Żyd? — zdumiał się Grzela, całując księdza w rękę. — Czy to ojciec duchowny nie

http://rcin.org.pl

wie, skąd on tu się wziął u nas? Jakim sposobem dobrał się do dziedzictwa?

— Mówiono mi, że kupił majątek...

— Ale — pokręcił głową Grzela — kupił. Wyszachrował, nie kupił. Podstępem i lichwą starego pana naszego ze wsi wysadził i na dziady puścił. Ci, co go lepiej znają — zniżył głos Grzela — mówią, że on podobno nawet ludźmi handlował... więc... więc — uciął, miętosząc czapkę w ręku.

— Więc? — powtórzył machinalnie ksiądz wikary.

Chłop pochylił głowę i rzekł markotnie:

— Jaki on może być nasz bliźni?

— Niezbadane są wyroki Boże! — westchnął wikary.

V.

— Ojciec! — klasnęła w ręce Grzelina, gdy ksiądz opuścił ich zagrodę.

— Ha? — spytał Grzela, rychtując własnoręcznie synkowi nową fujarkę.

— Nagotuję ci klusków ze słoniną! Jakże?

— Dobreby to było — oblizał się chłop, bo miał dziwną słabość do tego jadła.

— Krupniczku z miodem uwarzę...

— Co? — roześmiał się Grzela. — A monopol masz?

http://rcin.org.pl

— Nie chodziłam to z jajkami do miasta?

— Świarna gospodyni z ciebie — pochwalił ją chłop.

— Widzisz — uśmiechnęła się zadowolona z pochwały.

— Matka — odezwał się po chwili Grzela.

— He?

— Możeby Maja z Lądem na on krupniczek zaprosić? Widzieli jak z krowami było... Będą świadczyć...

— To ich spros...

— Bo trza, mości panku i temu polowemu coś obmyślić... Żydowski parobek psia mać!

— Pluń na niego.

— Plunąć, plunę mu, ale w gębę, kurtę mu też skrajać nie zaszkodzi...

— Che! che! che! — zaśmiał się Antek z uciechy.

— Bierz raku fujarę i wynoś się w pole. Nie twoja rzecz słuchać, co matka z ojcem radzą.

Chłopak podziękował staremu za instrument, matce za obiad i zaopatrzony w krajankę sera z pajdą chleba, popędził krowy na pastwisko.

Przed wieczorem, gdy Grzelowie z sąsiadami dobrze podpili krupniczku z miodem i tłustością, wpadła do izby dziewucha od kowala i rzekła zdyszana do Grzeli:

— Gospodarzu! a to polowy znowu się czai i kołuje niedaleko krów waszych... Żeby znów jakiej krzywdy Jantkowi nie wyrządził...

http://rcin.org.pl

— Niech ino spróbuje ten żydowski parobek! — grzmotnął pięścią w stół Grzela — kłaki mu ze łba wydrę! Gnaty poprzetrącam!

— My wam pomożemy! — ofiarowali się sąsiedzi.

— Chodźma! — wstali wszyscy.

VI.

Polowy, jak to przewidzieli Maj z Lądem, dostał od dziedzica po dziesiątce za każdą krowę, dziedziczka poczęstowała go od siebie kieliszkiem wódki i też mu coś w łapę dała. Wincenty obtarł wąsy pocałował żydówkę, niby dziedziczkę w rękę i ruszył na nowe zwiady w pole.

— Dobre państwo, choć na ten przykład żydy — mruczał oglądając dar dziedziczki.

— Dziesiątka! — roześmiał się. — Dołożyć fantowe będzie złotówka. Tfu! — splunął — psiakość coś mnie po jednym kieliszku markoci... Wstąpię chyba do pachciarza, wezmę szwarcówki za oną złotówkę... Jakże, Wicuś? — uśmiechnął się sam do siebie — Wziąć?

— Weź, co masz sobie żałować? — odpowiedział, czkając. — Albo to mało bydła we wsi? Znowu się co zajmie... Znowu grosz świeży napłynie!...

Niedługo potem Wincenty szedł przez pole, gęsi zaganiający, bo go szwarcówka pachciarska

http://rcin.org.pl

dobrze przejęła, szedł prosto ku stercie ze słomą, w której miał legowisko sekretne. Chciał urżnąć śpika, jak to zresztą często robił, gdy sobie łeb zaprószył.

Wyspać się każdemu błogo, ale na łóżku w izbie, albo w stodole na sianie, zwłaszcza po ciężkim znoju dziennym. Ale spać gdy słonko jasne świeci i to pod stertą w polu nie zawsze bywa bezpiecznie.

Nuż złe, licho sprowadzi?

Jakoż przyleciała skądciś sroka, siadła na stercie, jęła przypatrywać się z góry śpiącemu i skrzeczyć.

Zwróciło to uwagę dwóch wyrostków wiejskich, bobrujących w olszynce nad rzeczką za gniazdami ptasiemi.

Zaczęli się trącać między sobą i szeptać:

— Słyszysz?

— Słyszę...

— Sroka...

— A sroka...

— Musi gniazdo tam ma...

— Zobaczmy...

— A polowy?

— Nie widać...

— To chodźma...

— Zniż się Józiek, bo kto dojrzy...

— Ty też Wojtek łba nie wystawiaj...

Sroka spostrzegłszy, pełzających ku stercie chłopaków, sfrunęła na gruszkę polną i znikła w zieleni.

http://rcin.org.pl

— Wojtek — szepnął Józiek, gdy dobrnęli do sterty. — Słyszysz ty?

— Ciii — nadstawił Wojtek ucha. — Coś jakby gwizdało.

— Może kos? — szepnął Józiek.

— Albo borciuk, bo chrząka — zgadywał Wojtek.

— Ee, to pewnie świnia — wzruszył ramionami Józiek, wyciągając na zwiady głowę z za sterty.

— Laboga — stłumił krzyk.

— Co? — zatrwożył się Wojtek.

— Polowy...

— Gdzie?

— Śpi pod stertą...

— Zmykajmy...

— Czekaj, pewnie pijany...

To rzekłszy, wyciągnął ze sterty słomkę długą i ostrożnie przejechał nią pod nosem polowego.

— Aphu! — kichnął pijanica, przewracając się na drugi bok.

— To schlany — przysiadł Józiek z uciechy.

— „Ruzię" wypuścił z ręki i o Bożym świecie nie wie — mówił Wojtek, patrząc badawczo w oczy Józka.

— Wziąć mu ją...

— I schować...

— Niech do psów naszych nie strzela.

Co rzekli — zrobili i niebawem siedzieli już

http://rcin.org.pl

ukryci w olszynce, oglądając ciekawie zabraną polowemu fuzję, nigdy zbliska przez nich nie widzianą.

. . . . . .

Polowego zbudził bąk, który siadł mu na nosie, zmylony zapewne barwą jego czerwoną. Skutek odwiedzin bąka był gorszy niż po słomce zbytników wiejskich.

Polowy ocknął nagle, trzasnął się pięścią w nos i zaklął.

— Bodajcie zła krew zalała! To mnie coś ucięło — mruczał rozpatrując w garści zmiażdżonego owada.

Siadł, wytarł nos ostrożnie i obejrzał się za fuzją.

— A ty gdzie? — przemówił zdumiony i jął rozgarniać słomę do koła. — Ki djabli? — mruknął. — Zostawiłem cię u pachciarza, czy co?

Nagle doleciał go dźwięk fujarki i przyśpiew dziewczęcy:

Chodzi po polu, szuka na roli
Nie może znaleźć — serce go boli...

— Dam ja wam! — podniósł pięść w górę. — Znów ściął wierzbinę, zrobił fujarkę i dudli.

. . . . . .

. . . . . .

— Wy Grzelo — mówił Ląd — idźcie jakby nigdy nic prosto przez swoje pole, ku górce, a my oba z Majem pójdziemy steczką koło ol-

http://rcin.org.pl

szyny. Tam przysiądziemy. Jak by co, to gwiźnijcie...

— No, no! — przytaknął Grzela. — Gwiznę, ale w łeb polowego...

— Kumie — odezwał się Maj. — Toć i my z nim radzi pogadać.

— Najprzód ja, bo na mojego Antka dybie. Potem wam go podaruję.

. . . . . .

Antek siedział nad rzeczką i roztapiał duszę w instrumencie przez tatula wyrychtowanym. Krów doglądała mu przyjaciółka, która po południu przypędziła swoje bydlęta na pastwisko z sąsiadującej z Grzelami zagrody.

Chłopak grał, dziewczyna przyśpiewywała, a Burek rył nory, poszukując myszy.

Coś psa nagle zaniepokoiło przy tej robocie, bo przestał kopać, nadstawił uszy i ogon spuścił.

— Mrrrr... — pisnął, szerść jeżąc.

— Leżeć Buruś — pogładziła go dziewczyna.

Pies jednak szczeknął zajadle i skoczył w stronę Antka.

Zaciekawiło to dziewuchę, pobiegła na wzgórek i dziwne widowisko ujrzała.

Polowy gonił Antka, za polowym, który tego nie spostrzegł, sunął milczący, ale okrutnie nasrożony Grzela, a pies jeździł, to fruwał uczepiony kłami za kapotę Wincentego.

Grzela dopadł wreszcie napastnika, pochwycił go za ozydle i potrząsnął niby drzewiną:

http://rcin.org.pl

— Czego ty żydzie chcesz od mojego dziecka? — wrzasnął.

— Szkody robi! — zachrypiał polowy.

Grzela podniósł Wincentego jak piórko w górę, grzmotnął o ziemię, przysiadł na nim i począł tłuc pięściami, gdzie wlazło.

— Dajcie mi kija! — wołał do nadbiegających sąsiadów.

— Bez kija bijcie Grzelo! pięściami! bo kijem, mało co, uśmiercić można — wołał Maj, szykując garście.

— Choćbym juchę zakatrupił, to by grzechu nie było...

— Stańcie no! — wtrącił się Ląd, wstrzymując Grzelę. — Widzi mi się, że z tego parszywca dech wyszedł.

— Zamroczyło go — oświadczył Maj, przykładając ucho do piersi polowego. — O! — zdziwił się, kręcąc głową — serca nie słychać.

— Do wody z nim! — zadecydował zdyszany Grzela.

Zimna kąpiel przywróciła dech polowemu. Parsknął, otrząsnął się jak pies i spojrzał na swych gromicieli.

— Chamy, psiąkrew! — syknął, wypluwając wodę.

— Mało ci? — krzyknęli chłopi — dostaniesz więcej!

Polowy nie czekał i przepłynął spiesznie na drugi brzeg rzeczki.

http://rcin.org.pl

. . . . . .

Józiek z Wojtkiem widzieli całą scenę, ukryci w olszynie i trzęśli się ze śmiechu. Gdy jednak polowy blizko nich wylazł z wody, lęk ich obleciał, zerwali się jak spłoszone ptaki i dalej w nogi.

Polowy mimo, że był zbity i zmoczony ruszył z miejsca za nimi.

— Trzymaj! łapaj! — wrzeszczał, podniecając się krzykiem.

— Józiek! — pisnął Wojtek — rzuć „ruzię", bo cię polowy złapie!

Pogoń wstrzymał nagły błysk i huk straszny. Polowy się zachwiał i runął jak długi.

Józiek co to było? — pytał Wojtek, dysząc ze zmęczenia.

— Wiem to? Zawadziłem „ruzią" o krzaki i huknęło...

— Nie mów nikomu nic...

— Ani ty...

— To się wie...

. . . . . .

Wincenty leżał czas dłuższy na ziemi, wreszcie uniósł głowę i spojrzał wzrokiem ogłupiałym.

— Kto tu strzelił? — mruknął. — Kij djabeł? — zatrząsł się, spostrzegłszy fuzję blizko. — Przecie to moja strzelba! Tfu splunął. — Sen czy jawa?

Stęknął, siadł i zaczął rozważać zaszłe wypadki.

http://rcin.org.pl

— Byłem we dworze... Wypłacił mi dziedzic, niby żyd, dwie dziesiątki za zajęte krowy... Dziedziczka, niby żydówka, dała mi też dziesiątkę i kieliszek wódki... Cniło mnie... Kupiłem sobie u pachciarza szwarcówki... Wypiłem i poszedłem wytchnąć po tym obiedzie... Ległem sobie pod stertą... Pod stertą... stertą, a dalej?... Co dalej było?... Acha!... Coś mnie w nos ucieło... Goniłem Antka... Zamroczyło mnie i wpadłem do wody... Chłopi się śmiali... Goniłem znów... Strzeliło... Ale kto strzelił? Czyżbym miał broń na sobie? — tarł czoło. — Musiałem kurkiem zawadzić i strzeliło... Tfu! pachciarz niechrzczony blekotem widać zaprawił szwarcówkę, że taki oman padł na mnie?

. . . . . .

Ano, nic dziwnego, iż pijaczyna nie mógł myśli pozbierać i tak sobie całe zajście z chłopami wytłumaczył, musiał bowiem mieć dobrze jeszcze łeb zaprószony, gdy pognał za chłopakami.

Siedział teraz, obmacywał boki i stękał:

— Co te nożyska mnie tak bolą? — dziwił się.

Usiłował wstać, ale nie mógł. Nogi go wcale słuchać nie chciały, więc krzyknął przerażony:

— Ludzie ratujcie!

Łowił niedaleko chłop ryby na wędkę, usłyszał krzyk i począł nasłuchiwać.

— Cosik jakby wrzasło — szepnął — O, znowu krzyczy... Ktoby to mógł być?

http://rcin.org.pl

Nasłuchiwał jeszcze chwilę i ruszył pędem do wsi.

— Ludzie! — wołał — w olszynie cosik strasznie lamentuje!

Ruszyli chłopi kupą, z Grzelą, Lądem i Majem na czele, znaleźli Wincentego i wołają:

— To krowiarz!

— Psi gnębiciel!

— Ludzie! — stęknął błagalnie Wincenty — pomóżcie mi!... Wstać na nogi nie mogę!...

— To sobie leż! — splunęło kilku.

— Na miłosierdzie Boskie zaklinam was, ratujcie!...

— Co było, to było — przemówił milczący dotąd Grzela. — Trza tego pijanicę poratować. — Weźcie go Lądzie za nogi, wy Maju pod krzyże, a ja za głowę.

. . . . . .

Pan Leon Cynamon przeraził się, gdy chłopi przynieśli Wincentego i na ganku przed dworem ułożyli.

— Co to jest? Co się stało? — zawołał.

— Musiał się gudłaj postrzelić, bo krew mu z nóg płynie. Niech pan dziedzic każe zaprządz do woza. Trza odwieźć go do szpitala.

. . . . . .

— Ajaj! — mówił potem pan Cynamon do wystraszonej żony. — Taki wypadek!... Takie nieszczęście!

— Ładnie nas to będzie kosztowało...

http://rcin.org.pl

— Nas? — wzruszył ramionami pan Cynamon — dlaczego nas? Przecież on ma u mnie niewybrane zasługi!

— A jak umrze?

— To mu za te zasługi pogrzeb zrobię, a nawet pomnik postawię, jeżeli wystarczy kapitału...

— Pomnik, toby było bardzo po obywatelsku, toby nam w okolicy dobrze zrobiło — ożywiła się pani Cynamon. — Tylko — dodała — trzebaby coś na tym pomniku napisać...

— Napisać? Co to trudnego? Ja nawet taki napis mam już w głowie...

— Powiedz, Lejosz — uśmiechnęła się zaciekawiona pani.

Pan Cynamon chwilkę pomyślał, chrząknął i zadeklamował:

Tu leży mój polowy
On umarł — choć był zdrowy.

— To nic nie mówi — skrytykowała go pani Cynamon.

— Czekaj! Posłuchaj dalej:

Za to, że wiernie służył,
Że oka nie przymrużył,
Gdy kradł chłop, lub parobek —
Stawiam mu ten nagrobek.

— Ach Lejosz! Lejosz! — cmoknęła pani. — Doprawdy jaką ty masz głowę! Lejosz! jaką ty masz głowę!

http://rcin.org.pl

. . . . . .

Obyło się bez pogrzebu i pomnika, bo Wincenty wyzdrowiał w szpitalu. Cherlał, cherlał, ale wyzdrowiał.

Gdy, utykając na jedną nogę, przyszedł do dworu, dziedzic go przywitał:

— Co? Wincenty żyje?

— A żyję...

— Po takim strzale?

— Słaby nabój był...

— Jakto słaby? To ja polowemu żałowałem prochu?

Wincenty spojrzał dziwnie na żyda i odrzekł tonem usprawiedliwienia:

— I tak kulawy jestem...

— Kulawy? — pokręcił głową pan Cynamon. — I co Wincenty teraz będzie robił, kiedy kulawy?

— Ano, wróciłem na służbę do wielmożnego pana dziedzica.

— Ja kulawego potrzebować nie mogę...

— Ha! — zmarszczył się Wincenty. — Niech mi pan wypłaci moje zasługi...

— Jakie zasługi? Twoje zasługi pójdą na szpital!

— A cóż to pan będzie rządził mojemi pieniądzmi! Słyszycie wy ludzie? — zwrócił się do stojącej niedaleko służby dworskiej.

— Wont! precz z mego podwórza! — rozsrożył się pan Cynamon.

http://rcin.org.pl

— Pójdę!... ale się jeszcze zobaczymy — pogroził mu pieścią Wincenty.

— Idź! Złam kark!

. . . . . .

Wincenty, za radą gospodarzy, z którymi zaprzyjaźnił się szczerze, gdy go odwiedzali chorego w szpitalu, zapozwał wdzięcznego dziedzica do sądu i wyprocesował od niego nie tylko zasługi, ale i odszkodowanie za kalectwo na służbie poniesione.

— Nijako mi to brać było pieniądze za one kalectwo — mówił potem do Grzeli — ale sędzia sam się za mną ujął... Zresztą co miałem parszywca żałować...

— To się wie — cyknął ślinę Grzela. Przecie wy teraz, mój Wincenty, do cięższej roboty nie zdatny.

— I to prawda — przyznał Wincenty. — Sam się głowię co robić?... Chyba się za pisarza gdzie zgodzę... Całkiem jeszcze słaby jestem. Nie wiem gdzie się podzieję...

— Tymczasem możecie u mnie zamieszkać, potem może się co trafi...

— Bóg wam zapłać Grzelo.

. . . . . .

Pieniądze wyprocesowane od żyda złożył Wincenty w kasie gminnej i osiadł na komornem u Grzeli, pomagając mu przy gospodarstwie.

Bywało, że gdy Maj z Lądem zaglądali do Grzeli, a ten mrugał na żonę, żeby wyszykowała

http://rcin.org.pl

gościom jaki poczęstunek — Wincenty wstawał i wychodził z izby.

— Zostańcie, napijecie się z nami — zapraszali Grzelowie.

— Wyprzysiągłem się... Nie kuście... Pił nie będę — kręcił głową.

Za to regularnie chodził w pole do Antka, którego pokochał serdecznie. Czasami chował się w olszynie i straszył chłopaka grubym głosem

Ojej! olaboga!
Idzie kuternoga!

Antek z Burkiem rozpoczynali poszukiwania, a gdy Burek wywąchał starego i w pląsach począł go obszczekiwać, Antek rzucał się Wincentemu na szyję i czynił wymówki:

— Czego to, dziaduś tak się przezywa?

— Bo nie jestem kuternoga? — śmiał się stary.

— A nie!

Zwykle zasiadali potem na wzgórku, Wincenty nakładał na nos okulary, wyjmował z kieszeni elementarz i uczył czytać chłopaka.

Burek uszy tulił i merdał ogonem jakby się cieszył, że złe na dobre się odmieniło.

Fundacja im. J. I. Michalskiego ze zbiorów

http://rcin.org.pl

INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72
Tel. 26-68-63

http://rcin.org.pl

TREŚĆ:

ICEK I JACEK 1
WIOSNA 71
O MAĆKU I JEGO DOLI NIESZCZĘSNEJ . . 97
WDZIĘCZNOŚĆ 115

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

F
22.014

http://rcin.org.pl